

# ROLA.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.  
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.  
W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.  
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

## PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje.

Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

## OD REDAKCYI.

Szanownym abonentom przypominamy iż czas już odnowić prenumeratę na kwartał IV-ty.

W jednym z przyszłych numerów rozpoczniemy w odcinku druk nowej powieści znanego dobrze czytelnikom „Roli“ autora „Pułkownika“: **Klemensa Junoszy**, p. t. „Nowy Dziedzic“, — której początek **nowo-przybywający prenumeratorowie otrzymają przy pierwszym numerze.**

Ponieważ w sferach nam nieprzyjaznych agitacja przeciwko **Roli** nie tylko nie ustaje ale się wzmacnia i ponieważ agitacja ta polega głównie na rozpowszechnianiu o piśmie naszym opinij **tendencyjnie fałszywych**, prosimy więc wszystkich życzliwych nam i przyjaciół pisma, o prostowanie opinij tych, choćby tylko w imię prawdy i poczucia prostej sprawiedliwości. **W tym celu na każde żądanie, wysyłać będziemy okazowe numera „Roli“ każdemu kto zechce w kole swoich znajomych jednać nowych prenumeratorów i dać im przedewszystkiem poznać pismo nasze — takim, jakim jest rzeczywistość. Naturalnie, że tak tym którzyby chcieli starać się o rozpowszechnienie pisma jak i tym którzyby je chcieli poznać bezpośrednio, numera okazowe wysyłać będziemy bezpłatnie.**

## W sprawie rzemiosł.

## II.

„Oddział towarzystwa popierania przemysłu i handlu“ stawiając, aczkolwiek w formie tylko pytania, kwestyę „zniesienia tak nazwanych majstrów konsensowych“ i ustanowienia przepisów na mocy których każdy kto chce prowadzić warsztat na własną rękę byłby obowiązany do uzyskania dowodów stwierdzających jego *kwalifikację fachową*, — uderzył rzeczywistość — i w najżywotniejszą i w najślabszą zarazem stronę naszych stosunków rzemieślniczych.

Piszący to, miał już sposobność w innem miejscu (1) wykazać całą szkodliwość tej anomalii podkopującej byt rzemiosł — i wówczas też już wywołał w pewnych sferach głosy niezadowolenia. Mimo to przecież nie zawahamy się i dzisiaj twierdzić, że nic takiej szkody nie przynosi naszym

stosunkom rzemieślniczym jak brak wszelkiej kontroli nad uzdolnieniem fachowem tych, od których rozwój jednej z najważniejszych gałęzi pracy społecznej bezpośrednio zależy.

Że tak jest, że kwestya zniesienia owej, *upozorowanej* jedynie zasadą swobody pracy, *swobody konsensowej* jest po prostu kwestyą rozwoju i przyszłości rzemiosł, — postaramy się i tym razem choć w krótkości, lecz faktami dowieść.

Jak już wspomnieliśmy w artykule poprzednim, ustawa z roku 1816, jest po dziś dzień obowiązującą; mimo to przecież najważniejsze jej punkta dotyczące ścisłej i sumiennej kontroli nad uzdolnieniem fachowem rzemieślników, zostały następnie, w skutek późniejszych przepisów i rozporządzeń dodatkowych, osłabione a nawet obezwładnione.

Pierwsze rozporządzenie takie wydanem zostało przez Namiestnika Królestwa jeszcze w dniu 14 Sierpnia 1821 r. Rozporządzenie to dozwala rzemieślnikom zarobkować „za konsensami“, dzieląc ich przytem na dwie kategorie: należący do zgromadzeń rzemieślniczych byli wolni od wszelkich opłat konsensowych, nie należący zaś do nich obowiązani byli na prowadzenie rzemiosła wykupywać „konsens“.

Był to niezaprzeczenie nader ważny krok na drodze „swobody zarobkowania“, ale *jak u nas* przy braku zwłaszcza szkół fachowych i przy braku oświaty, był to zarazem pierwszy impuls do rozpowszechnienia się tak zwanego „fuszterstwa“ — „tandety rzemieślniczej“.

Bądź co bądź jednak, prawo z roku 1821 dając możność zarobkowania rzemieślnikom nie należącym do zgromadzeń, zrobiło ważne dla rzemiosł samych zastrzeżenie. Mianowicie, każdy z rzemieślników „konsensowych“ obowiązany był przy wykupywaniu konsensu przedstawić odpowiednie dowody, że jest rzeczywistość wykwalifikowanym w swym fachu, a to w części przynajmniej zapobiegało spekulacji polegającej na produkowaniu owej dobrze znanej u nas dzisiaj tandety.

Dopiero dodatkowe rozporządzenia późniejsze, mianowicie z dnia 7 Października 1863 roku i wydane następnie w roku 1867 wprowadziły do stosunków rzemieślniczych radykalną zmianę. Pierwsze z tych rozporządzeń zobowiązuje do opłacania konsensów wszystkich bez wyjątku rzemieślników tak zapisanych jak i nie należących do zgromadzeń, drugie zaprowadza *opłatę patentową* coroczną, obydwa zaś znoszą wymaganie wszelkich *dowodów kwalifikacji fachowej*.

Odtąd też dopiero w stosunkach rzemieślniczych zapanał chaos — a spekulacja znalazła wygodne i szerokie pole. Kto wykupił patent, — mógł prowadzić rzemiosło choćby takie nawet jakiego się nigdy nie uczył. — Szewc może uzyskać świadectwo na prowadzenie zakładu jubilerskiego,

(1) „Niwa“ z roku 1879 Nr. 108.

jubiler może założyć warsztat szewcki i t. d. — Fuszerstwo zakwitło; ale opinia rzemiosł naszych zamiast się podnosić — spada; a dość przypomnieć choćby jeden fakt tylko, iżby się w tem smutnem przekonaniu utwierdzić.

Z chwilą ułatwienia komunikacji z Cesarstwem wyroby nasze znalazły tam odrazu szerokie pole zbytu. I szewstwo więc warszawskie w odległych tych okolicach pozyskało wielkie widoki powodzenia, ale... nie na długo niestety. Spekulanci przy pomocy całej owej falangi majstrów konsensowych, potrafili zrobić wszystko co można dla zdyskredytowania wyrobów i na długo zamknąć im drogę jaka się przed nimi otwierała. Obuwie z *papierowemi* (!) podeszwami poczęło wracać do Warszawy, a zwrócono go, jak podają kroniki i... pełne lamentów artykuły z tego czasu, w jednym tylko roku (1880) do 40,000 par! — Spekulanci ci, po największej części majstrowie „konsensowi“, nietylko oddali nam w tym razie jedną z usług ważniejszych, ale i dowiedli zarazem do czego, przy ich zwłaszcza „delikatnym rozumie“, prowadzi brak wszelkiej organizacji i kontroli *fachowej* w stosunkach rzemieślniczych.

To co się stało z szewstwem dzieje się i z wszystkimi temi rzemiosłami w których jest znaczniejsza ilość majstrów „konsensowych“ a między znów którymi, poważny stosunkowo procent stanowią owi jakoby nieszczęśliwi, niedopuszczani do zgromadzeń żydzi. Oni przecież nie cisną się tam bynajmniej, bo gdzie tylko wymaganiami są dowody rzetelnej i uczciwej pracy, tam nigdy ich niema. Szybki i łatwy zysk bez trudu, to ich stare hasło, a prowadzenie rzemiosła na mocy patentu czy konsensu, odpowiada temu hasłu lepiej niż składanie jakichkolwiek dowodów uzdolnienia do... pracy.

Ostatecznie więc, dzięki systemowi „konsensowego“ prowadzenia rzemiosł, możemy dojść do tego, że fuszerstwo, tandeta i partactwo, wzięwszy górę nad istotną pracą fachową, nietylko zatamują jej postęp ale cofną ją wstecz, pomnażając w dodatku i szeregi proletaryatu rzemieślniczego, jaki dziś w Warszawie samej, na dziesiątki tysięcy liczy się podobno.

Nie żadne więc przypuszczenia lecz fakta, odpowiadają dość wyraźnie na pytanie postawione przez „Warszawski oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu“:

Jednym z najważniejszych środków zabezpieczenia rzemiosł od upadku jest właśnie zniesienie majstrów „konsensowych“, a wydanie postanowienia na mocy którego każ-

dy kto chce prowadzić własny warsztat byłby obowiązany do składania egzaminu ze znajomości rzemiosła.

Dodać trzeba, że zniesienie majstrów konsensowych rozwiązuje zarazem i pytanie inne, o którym mówiliśmy w artykule poprzednim a mianowicie, — „czy do zgromadzeń rzemieślniczych mają należeć wszyscy, bez różnicy wyznania“?

Należać może każdy kto chce być — nie „fuszerem“ ale uczciwym, dobrym i sumiennym rzemieślnikiem, i kto złoży *dowody* że istotnie jest takim.

Byłoby rzeczą wprost nieludzką tamować komuś drogę pracy dlatego że jest tego lub innego wyznania; ale z drugiej strony byłoby wysoce nierozsądnem w imię „tolerancyi wyznaniowej“ uprawniać w pracy tej niesumienność. Kto nie będzie mógł być majstrem „konsensowym“, ten musi zostać majstrem rzeczywistym — lub nie będzie żadnym. Zasadzie tolerancyi stanie się zadość, a rzemiosła uwolnią się od tej plagi partactwa jaka je dziś przygniata i rujnuje otwierając szerokie pole konkurencyi zagranicznej i narażając kraj na olbrzymie, nie dające się obliczyć straty.

I jeszcze jedna uwaga.

Jeżeli w tych nawet społeczeństwach w których swoboda zarobkowania najsilniej jest rozwiniętą istnieje przecież kontrola nad uzdolnieniem fachowem rzemieślników, jeżeli naprzykład nawet w Anglii każdy rzemieślnik pragnący otworzyć warsztat, musi przedewszystkiem przedstawić dowód, iż jest wykwalifikowanym w swym zawodzie, to dla czegoż u nas zasada taka miałaby się stać, jak zapewne zawołają niektórzy, pogwałceniem swobody pracy? Celem swobody tej i podstawą, winien być jej rozwój — rozwój rzeczywisty, nie cofanie w tył, a do tego jedynie — do upadku tylko, powtórzmy raz jeszcze, uprawianie rzemiosł bez odpowiedniego uzdolnienia, uprawianie ich na mocy „konsensów“, — doprowadzić jest w stanie.

Naturalnie iż w związku z temi reformami pozostają wszystkie niemal inne pytania „Oddziału Towarzystwa“, — pytania od których również zależy przyszłość rzemiosł naszych. Kwestye wszakże pytaniami temi objęte, jako bardzo skomplikowane, traktować będziemy obszerniej i na innym już miejscu.

Jan Jeleński.

## S J E S T A .

NOWELLA

Aleksandra Kiellanda.

przekład

A. Callier.

W jednym z eleganckich mieszkań przy ulicy Castiglione siedziało przy deserze wesołe, przeważnie artystyczne, towarzystwo.

Sennor José Francisco de Silvis, gospodarz i amfitrion, był krótkonogim, czarnym jak węgiel Portugalczykiem z rodzaju tych, którzy z bajecznymi bogactwami przybywają do nas z Brazylii, w Paryżu bajeczne wiodą życie i odznaczają się przedewszystkiem najdziwaczniejszymi, najniemożliwszymi zazwyczaj stosunkami. W pośród małego, zbranego u stołu towarzystwa ani jeden może nie znał swojego sąsiada, oprócz tych co tu przyszli we dwóch lub we dwoje. Gospodarza zaś samego znali oni wszyscy z jakiegoś balu, z *table d'hôte'u* lub z ulicy.

Sennor de Silvis śmiał się i rozmawiał bardzo głośno, bez względu zawsze na to gdzie się znajdował, — jak to jest

w zwyczaju u bogatych cudzoziemców; a że nie zdołał wnieść się do wyżyn Jockey-Clubu, gromadził dokoła siebie co mu wpadło pod rękę; zapytawszy o adres, zaraz na jutro posyłał zaproszenie na obiad.

Mówił wszystkimi językami, nawet po niemiecku — i dumnym był nie na żarty kiedy po przez stół pytał w germańskim żargonie: „kochany panie doktorze, co tam u ciebie słychać?“.

W rzeczy samej bowiem u stołu znajdował się najprawdziwszy niemiecki doktor, porośły jasno-pomidorową brodą, z onym znanym *sefańskim* uśmiechem, nieodstępny towarzyszem Germanów, stąpających po paryzkim bruku.

Temperatura zabawy podnosiła się w górę dzięki szampanowi; płynna i łamana francuzczyzna mieszała się z hiszpańską i portugalską mową; żarty i dowcipy krzyżowały się po nad stołem w powietrzu i obiegały z ust do ust; jeden tylko „kochany doktor“ prowadził wielce poważną dysputę z swoim sąsiadem, jakimś francuzkim dziennikarzem, strojnym w czerwoną wstążeczkę u klapy surduta. — Prócz niego w całym tem towarzystwie był jeden jeszcze, którego ogólna wesołość nie zdołała porwać. Siedział on po prawej ręce, obok artystki dramatycznej panny Adeli — po lewej siedział wierny jej pan Anatol, zajądający w tej chwili nad wszystko ulubione... trufle.

## WYDAWNICTWA LUDOWE.

## IV.

## Od Redakcyi „Zorzy“.

Z powodu rozbioru naszych pism ludowych jaki niedawno pomieściliśmy w *Roli*, otrzymujemy od Redakcyi „Zorzy“ uwagi i objaśnienia którym, trzymając się stale zasady bezstronności, najchętniej w piśmie naszym dajemy miejsce:

„Z prawdziwą wdzięcznością odczytaliśmy w „Roli“ dość obszerną recenzję wydawanego przez nas pisma ludowego, ilustrowanego, „Zorzy“. Recenzja ta świadczy o dobrych zamiarach i przychylności dla prac naszych, ludowych, tak ze strony Szanownego Recenzenta p. Kl. J., jako i Sz. Redakcyi „Roli“, która uznała za potrzebne odezwać się do swych czytelników z przypomnieniem ważności tego rodzaju wydawnictw. — Skorzystamy z uwag i dorad w każdym razie przychylnie i szczerze podanych. Jednakże dla uzupełnienia poglądu na 19-to letnie wydawnictwo nasze, upraszamy o pomieszczenie i od nas w łamach „Roli“ pewnych wyjaśnień i sprostowań.

*Auliatur et altera pars!*

Zarzut Sz. Recenzenta, iż „Zorza“, acz śmieiej niż „Gazeta Świąteczna“, jednakże w sposób chwiejny i niezdecydowany występuje w kwestyi stosunków z żydami, uważamy za niesłuszny. Naprzód z tego względu, iż „Zorza“ jest piśmie ludowym, i zamało ma miejsca na ciągle wykazywanie i spisywanie istotnych, tysiącznych szachrajstw i wyzyskiwań przez żydów ludu naszego, o których zresztą wie już cały naród, — a powtóre, że w samej rzeczy dość często nazywaliśmy w „Zorzy“ rzeczy tego rodzaju po imieniu: czy to w sprawach koniokrady, czy rozpajania i oszukiwania ludu wiejskiego i małomiasteczkowego przez żydów. Pisaliśmy np. i radzili nieraz, aby w moc istniejących przepisów, nie podstawić tajemnie żydów na dzierżawę szynków po wsiach, — aby w imię tychże przepisów, nie dozwalać na prowadzenie szynków (zwykle żydowskich) po miastach w niedozwolonem sąsiedztwie z kościołami, — aby żydom sadów nie wypuszczać w dzierżawę, bo je niszczą, owoce niedojrzałe zrywają na sprzedaż i okradają dwory z warzyw, słomy i siana. Niejednokrotnie też zachęcaliśmy chrześcian do zakładania gospód, sklepów i sklepików małomiasteczkowych i wiejskich z towarami, aby tym sposobem odciągać lud od marnowania czasu i okazji do pijaństwa po miasteczkach, dokąd włościanie spieszyć muszą co tydzień po kupno narzędzi i potrzeb gospodarskich. Radziliśmy nieraz w „Zorzy“ aby przed odwózką zboża do miasta, wiesniacy wpierv poprosili we dworze o przeważenie zboża, gdyż na wadze oszukują ich potem niemiłosiernie małomiasteczkowi kupcy żydowscy.

Podczas obiadu już panna Adela usiłowała tchnąć nieco życia w swego sąsiada z prawej strony. On przecież pozostał milczącym i poważnym a na pytania paryżaneczki odpowiadał uprzejmie ale krótko i półgłosem.

Pierwotnie podejrzewała go że jest Polakiem, lecz wkrótce poznała swą omyłkę; a to gniewało wielce pannę Adelę.

Jedną bowiem z licznych jej specyałności była umiejętność rozgatkowywania natychmiastowego wszystkich tych cudzoziemców, pośród których zdarzało jej się obracać, i zwykła też była zapewniać, że odgadnie natychmiast narodowość każdego, z kim bodaj dziesięć słów zamieni.

Ale ten skąpy w słowa cudzoziemiec nie mało jakoś sprawiał jej kłopotu. Gdybyż przynajmniej był blondynem! W takim razie byłaby oświadczyła bez wahania, że to Anglik; bo mówił całkiem tak jak mówią Anglicy. Ale jak na złość włosy miał czarne i gęste, czarny wąs, sam zaś był mały, zręczny i kształtnie zbudowany. Palce jego były uderzająco długie, a miał dziwny jakiś sposób łamania chleba i bawienia się deserowym widelcem.

— Ręczę że jest muzykiem — szepnęła panna Adela swemu otyłemu przyjacielowi, i nie mogła jakoś zajmującego cudzoziemca wypuścić z swej opieki. Nakłoniwszy go do wypicia kilku kieliszków szampana, sprawiła przynajmniej

Czyż więc można pomawiać nas o chwiejność w tej sprawie?

Wszakżeż w każdym numerze „Zorzy“ nie możemy czytelników zajmować jedną i tą samą rzeczą. Zachęcając do trzeźwości lud nasz, do radzenia sobie samemu, bez faktorów i sklepików żydowskich, i t. p., już tem samem staramy się wytrącać narzędzie szachrajstw i oszustw przeciw temuż ludowi wymierzanych przez żydów, którzy szkodząc, — zuchwalstwem jeszcze odpłacają się pracowitej ludności.

Szanowny Recenzent wyraził się też, iż w powiastkach „Zorzy“, oprócz suchego, nudnego moralizowania, nic więcej niemasz. Jest to sąd zbyt ogólnie wydany. Bywały i bywają w „Zorzy“ powiastki jedne więcej, drugie mniej udatne i barwne, to prawda; lecz przecież wypowiadały się tam właśnie i owe „bolesci i radości“, o które woła Sz. Recenzent, bo w *każdej* z tych powiastek rzecz zawsze przecież dzieje się wśród osób żyjących, ruszających się, czysto ludowych, więc zawsze na grze ich życia oparta. — Już to od pewnego czasu narzekania recenzentów na „moralizowanie“ w powiastkach ludowych stały się upartą, za panią-matką powtarzaną rutyną. — Często też stają się one wygodne, bo upoważniają do nieodczytania wszystkich tego rodzaju utworów w piśmie ludowym. Nie stosujemy tego do Sz. Recenzenta naszego wydawnictwa, — lecz niech nam daruje, gdy powiemy, że my nie rozumiemy powieści ludowych bez „tendencji“, w każdej musi być jawnie lub w toku rzeczy wystawiony wzór, przykład dobrego, słowem morał i skutki złego, — wszystko to zaś wplecione być winno w istotę życia rzeczywistego, w czem naturalnie pożądaną są i błyski ideału, poezyi. Powiastki muszą tu zastępować życiorysy ludowe, o które w rzeczywistości przecież tak trudno przy tem życiu szarem, jednostajnem, gdzie indziej tylko ubarwionem żywsem, często nienormalnemi wyskokami fantazyi. Artyzm, zastępujący w bellestryce wyższej tendencję, dla ludu niemoże być celem głównym z powodu iż czytelnik z ludu, nie zrozumie jego doniosłości, lub zrozumie go źle, do tego bowiem już potrzeba pewnego, wewnętrznego przygotowania. Ślicznej powiastki Litwosa „Janko muzykant“ nie mogliśmy drukować w piśmie ludowym; skradzenie skrzypek zawsze jest złodziejstwem, choćby w imię artyzmu dokonaniem.

Zawiele też spotykamy w recenzyi uwag o drobnej, zwykle na początku tylko roku pomieszczanej rubryczce w „Zorzy“ — o „Krzewicielach“ tego pisma, lub jakiejś tam pobieżnej pochwalę przez prostaczka-korespondenta. — Więc wszystkim innym piśmom i gazetom wolno głosić światu o swej treści, zamiarach, zaletach w ogłoszeniach i tym podobnych reklamach, — a jedynie piśmu ludowemu nie godzi się gdzieś na uboczu zachęcić drugich do prenumeraty, mianowicie tych, którym dotąd wciskać jeszcze potrzeba pisma ludowe do ręki, gdyż sami tylko wyjątkowo, zgłaszają się listownie *wprost* do redakcyi?

tyle że ożywił się nieco i począł być cokolwiek rozmowniejszym.

— A! — zawołała nagle — po pańskim akcencie poznaję, że jednak jesteś pan Anglikiem!

Twarz cudzoziemca oblała się całą gorącym rumieńcem a z ust pospieszna wybiegła odpowiedź:

— Nie, pani!

Panna Adela zaśmiała się.

— Wybacz pan! Wiem, że Amerykanie gniewają się kiedy ich brać za Anglików.

— Ja i Amerykaninem nie jestem — odparł cudzoziemiec.

Tego już było zanadto dla panny Adeli; pochyliła się nad talerzem i skrzywiła usteczka, zmartwiwszy się do reszty tą porażką.

I cudzoziemiec zauważył to snać, bo dodał jakby litując się nad pokonaną, półgłosem:

— Ja, pani jestem Irlandczykiem!

— Ah — odparła panna Adela z wdzięcznym uśmiechem, łatwo ją bowiem przejednać było można.

— Anatolu... Irlandczyk — co to jest? — szepnęła.

— To są ubodzy w Anglii — odpowiedział również szepem.

— A! Tak!... hm!

Chodzi tu zresztą i o finansową stronę pisma, które tylko na własnych funduszach prenumeracyjnych opiera się i idzie dalej.

Jestże w tem wszystkim co zdroźnego? Natomiast nie spotkalismy się wcale w recenzji z nowozaprowadzoną przez nas rubryką: „Co tam słycać? — Odpowiedź ciekawemu Stachowi“, — gdzie są przystępnie podawane obecne dzieje główne państw i rządów, czyli tak zwana polityka, która też lud nasz zaciekawia a przytem i oświeca. Nie spotkalismy też choćby małej wzmianki o stałej rubryce w „Zorzy“ p. t. z „Kraju i ze Świata“, gdzie podawane są wydarzenia, fakta i czyny zachęcające lud nasz do postępu, nauki, cnót obywatelskich i t. p.

Co do „Poradnika Gospodarskiego“ stale, jako dodatku wydawanego przy „Zorzy“, to sz. Recenzent nadając mu ważność, czyni zarzut, że nie dajemy zachęty i rad do postępowego przemysłu wiejskiego. Lecz w takim razie, cóż znaczą artykuły tego Poradnika: „O sadzeniu i hodowaniu wierzby koszykarskiej lub dekarskiej“ (w N-rze 12 z r. 1883, lub w N-rze 2 z r. 1884)? — dalej, artykuły: „Na co obracać posiadane pieniądze, i jak postępować z kupnem ziemi przy parcelacjach (Nr. 3 z r. b.)? — Wszakże tam zachęcalismy włościan i podawalimy środki praktyczne, jak się obdzielać kolonialnie ziemią nabytą, folwarczną, a nie dzielić jej na liczne działki, lecz na duże, zawarte działki, i w ogóle bliżej siedliska swego urządzać te grunta (str. 3). O szkodliwości rozrzucania działek, pisalimy i gdzieindziej w Poradniku; o sadownictwie zaś a mianowicie — jak urządzać sobie sady przy chatkach, wyłożyliśmy w N-rze 4-tym Poradnika. — Zachęcalimy wreszcie często do zamiany służebności na grunta, do zaprowadzenia kolejek w gruntach, do siania roślin pastewnych, z wymienieniem najodpowiedniejszych, i z podaniem sposobów jak je uprawiać.

O „Przemysle Ludowym“ u nas, podalimy rzecz w r. z. w N-rach 39, 40 i 41 (1); a i o „Pszczolnictwie“ aż w kilkunastu numerach Poradnika dawalimy cały wykład i praktyczne wskazówki. Przrzekamy też, że według rady sz. Recenzenta, o przemysle ludowym i o kolonialnem urządzaniu się, będziemy jeszcze nieraz pisali w „Poradniku“, bo istotnie rzecz to nader ważne.

Zaprawdę, ciężka to, mozolna i nudna praca dla inteligentnego recenzenta odczytywać całe roczniki ludowego wydawnictwa; lecz praca to konieczna, jeżeli ma być pouczającą, wyczerpującą i sprawiedliwą.

Tymczasem, dziękując szczerze Sz. Recenzentowi i Sz. Redakcyi „Roli“ za tyle przychylności i uznania dla naszych prac ludowych, uwydatnionych głównie w „Zorzy“, — za podniesienie tego przedmiotu jako nader ważnego w liczbie prac obywatelskich, — żywimy nadzieją, że i nadal znajdzie-

(1) Rozbiór „Zorzy“ był dopełnionym tylko z półroczną pierwszego roku bieżącego. (przyp. redakcyi „Roli“.)

Panna Adela podniosła brwi w górę i rzuciła na swego sąsiada z prawej strony zatrwożone spojrzenie; zajęcie się jej nim ostygło jakoś.

Obiady Sennora de Silvis były znakomite. Siedziano oddawna u stołu, a gdy pan Anatol myślał o ostrygach, któremi obiad rozpoczęto, wydawały mu się one już niby snem jakimś uroczym. — Natomiast wspomnienie truflki drechyło go bezprzestannie.

Właściwy obiad już się skończył; tu wyciągała się jakaś ręka po szampanową czarę, tam inna przerzucała w owocach lub cukrach.

Uczuciowa, złotowłosa poetka pani Luiza, zatopiła się w rozmyśleniach nad winną jagodą pływającą w jej kieliszku z szampanem. Małeńkie, niebieskie kulki powietrza okrażały dokoła powierzchnię jagody, a kiedy już zupełnie pokryły ją te białe, migotliwe perełki, nagle uniosły ją ponad wino aż na samą kielicha powierzchnię.

— Patrzaj pan — ozwała się pani Luiza, i podniosła wielkie swe jakby lżą przyćmione oczy, na dziennikarza, — patrzaj pan jak białe te anioły unoszą w górę grzesznika.

— A, cudowne! Co za myśl podniosła! — zawołał dziennikarz z zachwytem.

Podniosła myśl pani Luizy obeszła cały stół dokoła i wszędzie dobrze ją przyjęto.

my w „Roli“ również szczerze i przychylnie a dla nas zawsze pożądane wskazówki do coraz lepszego wywiązywania się z naszego mozolnego zadania. Dążyć za prawdziwym postępem w pracach naszych ludowych, — to nasze hasło.

Z uszanowaniem

Redakcyja „Zorzy“.

Przypisek redakcyi „Roli“. Choć nie na wszystkie, w objaśnieniu powyższem wyrażone poglądy moglibymy się zgodzić, to jednak niepodobna nie uznać tej szczerzej dobrej woli i tego przejęcia się pięknem i doniosłym zadaniem pisma ludowego, jakie z całego tonu poważnej i spokojnej „odpowiedzi“ przebija. To też ciesząc się niewymownie że redakcyja „Zorzy“ tak uczciwie pojęła cel tego rozbioru pism ludowych, jaki pomieściliśmy w „Roli“, nie możemy zarazem nie wyrazić żalu, że tak dziwnie inaczej cel ten nasz zrozumiano w redakcyi „Gazety Świątecznej“. Tak z redaktorem „Zorzy“ jak i z redaktorami „Gazety“ ani nas, ani autora recenzji nie łączą żadne zgoła osobiste stosunki; tak więc o jednym jak i o drugim piśmie mogliśmy pisać i pisalimy rzeczywiście *bezstronnie*, w imię *jedynie* dobra tego ludu, dla którego oba pisma istnieją. Tak więc w jednym jak i drugim piśmie, recenzent co dostrzegł dobrego podniósł i pochwalił, — co zaś według jego przekonania było złem, niewłaściwym albo niestarannem to otwarcie zganił; a przecież gdy za rozbiór taki redakcyja „Zorzy“ śle nam słowa podziękii, — redakcyja „Gazety Świątecznej“ uznała za właściwe całą tę pracę recenzenta i pobudki nasze do jej pomieszczenia nazwać „zbiorem kłamstw“, „podstępnych insynuacyj“ i wynikiem jakiejś „zawiści osobistej“. Gdy redaktor „Zorzy“, pisarz wytrawny, prowadzący od lat wielu organ ludowy, przyrzeka uwzględnić szczerze i w najlepszej wierze wypowiedziane uwagi recenzenta, redaktor „Gazety Świątecznej“, nierównie młodszy w swym zawodzie, nazywając sam swe pismo doskonałem, za które naród cały wdzięcznym mu być powinien, uważa się poprostu za... nieomylnego. Biednym doprawdy byłby ten nasz lud gdyby na niwie unysłowej miał tylko takich *nieomylnych* i takich *doskonalszych* przewodników! To też bez względu na gniew i to niepoczciwe rzucanie się redaktora „Gazety Świątecznej“, czujemy się w obowiązku powiedzieć mu raz jeszcze, iż byłoby stokroć lepiej dla jego czytelników, gdyby zamiast pisanja pochwał o sobie i gołosłownego... gromienia tych co jego pismo uważają za nieodpowiadające celowi, czerpał raczej wzory z trudu tych pisarzy którzy pracując dawniej — o wiele dawniej na tej samej niwie, dzięki nabytemu już doświadczeniu, wiedzą lepiej także czem powinien być każdy organ ludowy i jakie ma do spełnienia zadanie.

— Dziennikarz tymczasem skorzystał ze sposobności i potrafił przykuć uwagę ogółu na chwilę. — Rad bo był, że mu się udało uniknąć mozolnej dysputy z Niemcem; a że miał czerwoną wstążeczkę w dziurce guzika i ten decydujący ton dziennikarski, słuchali go wszyscy.

Począł rozwijać teorię jak drobne siły zespolone, zdolają najcięższe nawet podźwignąć ciężary, i od tej ogólnej prawdy przeszedł na temat dnia, na olbrzymią kwestę, podjętą przez dziennikarstwo na dotkniętych powodzią w Hiszpanii i ubogich miasta Paryża.

Miał o tem do opowiadania niemało a co chwila powtarzał *my* — jako przedstawiciel prasy — prawiąc z zapalem o owych „milionach któreśmy z niemałymi ofiarami zebrali“.

I z pośród zebranych również każdy miał coś do opowiedzenia w tym przedmiocie.

Niezliczone drobne rysy szlachetne z pewnym odcieniem ofiarności poczęto wyprowadzać na światło.

Najlepsza przyjaciółka pani Luizy, jakaś nic nie znacząca osobistość, siedząca na szarym końcu stołu, poczęła, mimo protestacyi pięknej blondynki, prawić o jakimś czynie ofiarności czcigodnej tej damy względem ubogiej szwaczki.

Pani Luiza naraz stała się wielce ważną osobistością i dziennikarz począł szczególniejszą otaczać ją uwagą.

Liczne te opowieści o dobroczynności ludzkiej oraz zażawione oczy pani Luizy wprawiły towarzystwo w pe-

## ZYDZI W WARSZAWIE.

SZKICE Z PRZESZŁOŚCI

przez

Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg.)

## II

Walka mieszczan z żydami. — Wesele królewicza Jakóba. — Marszałek koronny Franciszek Bieliński. — Bilety ustanowione przez marszałka Lubomirskiego. — Nowa Jerozolima i jej zniszczenie. — Sprzedaż publiczna zabranych towarów. — Dekret marszałka Mniszcha, czyli ostatnie zwycięstwo magistratu.

Pomimo wszystkich dekretów, których długą listę przytoczyliśmy w poprzedzającym rozdziale, żydzi ciągle prawie przebywali w Warszawie, prowadząc handel i wyzyskując ogół mieszkańców. Jak zwykle, w razie poważnego niebezpieczeństwa zagrażającego im, uciekali się do przekupstwa urzędników, byle pozostać w stolicy kraju. W obec tego cóż mieli robić biedni mieszcianie warszawscy, mający co prawda za sobą moc dekretów królewskich, ale kiedy te dekreta były częścią jedynie literą? I oni także uciekać się zaczęli do przekupstwa, byle nienawistnych żydów wyprzeć z miasta. — Jako charakterystyczny rys tego postępowania niech nam posłuży likwidacja wydatków, zrobiona przez magistrat warszawski w roku 1691 po weselu królewicza Jakóba Sobieskiego z księżniczką Neuburgską. Mieszczanie spodziewając się podczas zjazdu wywołanego tym weselem, wielkiego odbytu na swe towary, i lękając się konkurencji żydowskiej, a widząc że dekreta królewskie nie nie pomagają, uciekli się do przekupstwa dygnitarzy koronnych. Kosztowało ich to stosunkowo bardzo niewiele (1). — Z tej summy, marszałkowi wielkiemu koronnemu „aby żydom nie dawał protekcji do mieszkania w Warszawie“ dano dziesięć talarów bitych; kanclerzowi wielkiemu koronnemu „aby instancję wniósł u królewicza aby żydom protekcji nie dawał“ ofiarowano cytryny i pomarańcze, które kupiono u Perrota za złp. 54, nakoniec służbie marszałka wielkiego koronnego gdy rajcy miejscy byli u niego na audyencji złp. 1 gr. 20.

Ofiary te jednak i starania jak zwykle nie na wiele się przydały i pomagały tylko na razie. Żydzi siedzieli ciągle w Warszawie, handlowali i sami nie płacąc żadnych podatków, odbierali zarobek mieszczanom, ponoszącym znaczne stosunkowo ciężary. Jeżeli bowiem magistrat starej Warszawy zdołał od czasu do czasu utrzymać w całej mocy dekreta królewskie i wypędzał żydów, to ci za pieniądze znaj-

(1) A. Weinert. Starożytności Warszawy, III — 11.

wien nastrój cichego zadowolenia i ogromnej życzliwości dla ludzkiego rodu, harmonizując ze znużeniem wywołanem długotrwałą ucztą.

I błogi stan ten wzrósł jeszcze o kilka stopni, kiedy goście przeszli do chłodnego salonu na wypoczynek i zasiadli w miękkich fotelach.

Nie było tam innego światła nad ogień na kominku.

Czerwony blask kominkowego ognia ślizgał się po angielskim kobiercu posadzki, migotał górą na złoceniach obicia, oświecał złoczone ramy obrazów, fortepian stojący przed kominem i tu i owdzie jakąś twarz białą w pośród ciemności. Zresztą nie było widać nic prócz czerwonych punkcików tłących cygar i papierosów.

Rozmowa zdawała się zasypiać, — tu i owdzie jakiś szept, — brzęk stawianej filiżanki od czarnej kawy; — każdy zdawał się skłonny w głębokiem skupieniu rozkoszować się przyjemnością sjęsty i owej błogiej życzliwości dla ludzkiego rodu. — Nawet pan Anatol zapomniał o swych truflach, wyciągnąwszy się na niskim fotelu.

— Czy niema pośród nas nikogo, coby zechciał zagrać nam cośkolwiek? — spytał Sennor de Silvis. Pani to, panno Adelo, bywasz zazwyczaj tyle uprzejmą...

— Ah, nie, — zawołała — zanadto jestem zmęczona.

I zagłębiła się bardziej w poduszkach otomany, związując się w kłębek jak kotka.

dowali przytułek tuż pod murami miasta u właścicieli różnych jurydyk, otaczających dokoła Warszawę. — Dopiero za Grzybów, Dziekania, Ordynackie i inne. W obec tego stanu rzeczy, usiłowania mieszczan były bezpłodne i bezsilne. Żydzi prawie ciągle przebywali w Warszawie. — Dopiero za Augusta III Sasa, a za marszałkowstwa Franciszka Bielińskiego żydzi na jakiś czas zmuszeni byli ustąpić ze stolicy. Bieliński był człowiekiem surowym, i w owych czasach swawoli i rozluźnienia się praw, ścisłym aż do przesady niekiedy ich wykonawcą. Prawy nawskroś i nieprzystępny dla żadnego przekupstwa, wyganiał żydów z miasta bez litości. Nie obroniły ich już wtedy, żadne przywileje pojedynczych jurydyk, i surowa, poważna postać marszałka strach paniczny rzuciła na żydów, tak że ich wtedy na lekarstwo nie znalazł w Warszawie, chyba podczas dość licznych wówczas, krótkotrwałych i zawsze zrywanych... sejmów.

Niestety! wraz ze śmiercią Bielińskiego skończyło się to panowanie prawa. Żydzi znowu poczęli powoli napływać do Warszawy pod różnemi pozorami, i zostawać tu dłużej, opłacając się instygatorowi marszałkowskiemu. Marszałek wielki koronny Lubomirski, nie widząc innej rady, ustanowił bilety, w cenie 1 grosz srebrny, które każdy żyd chcący przebywać w Warszawie obowiązany był przy sobie posiadać pod karą więzienia. Bilet taki miał walor na pięć dni. — Jak wielu już wtedy przebywało żydów w Warszawie, dowód mamy z tego, że dochód z tych biletów przynosił rocznie około 200,000 złotych ówczesnych. Żydzi jednak i ten przepis obejść umieli. Trafili oni do różnych panów posiadających obszerne własności za murami miasta i tam osiadali, zakładając formalne, czysto żydowskie osady.

Najznakomitszą, największą i najgłośniejszą, do dziś dnia przypominającą się swem imieniem osadą, była „Nowa Jerozolima, istniejąca za dzisiejszemi rogatkami Jerozolimskimi (2). Wyjednano nawet uchwałę Rady Nieustającej, najwyższej ówczesnej magistratury krajowej, pozwalającą na pobyt żydów w Nowej Jerozolimie. Ale oparł się temu marszałek Lubomirski. — Zawiązał się z tego powodu długi spór, który ostatecznie wypadł na korzyść Lubomirskiego, a raczej na korzyść bezczelnie pogwałconych przepisów prawnych. Nadszedł nowy sądny dzień dla Nowej Jerozolimy.

Dnia 22 Stycznia 1775 r. straż marszałkowska wkroczyła do osad żydowskich mieszczących się za okopami stolicy, zabrano wszystkie znajdujące się tam towary, pobudowane zaś domy doszczętnie zburzono. Był to oczywiście gwałt, ale stan rzeczy był naówczas taki, że na nacisk żydowski można było tylko gwałtami odpowiadać.

Wszystkie towary w ten sposób zabrane żydom, a które obliczano wówczas na krocie tysięcy, złożono w Cuchthausie, mieszczącym się tam gdzie były do czasu budowy

(2) F. M. Sobieszczański. Rys historyczno-statystyczny m. Warszawy, p. 97.

Natomiast ów cudzoziemiec, Irlandczyk, wynurzył się z jakiegoś kąta ciemnego i przystąpił wprost do fortepianu.

— Ach, pan nam zechce coś zagrać. Tysiącne dzięki, *monsieur*... hm!...

Sennor de Silvis zapomniał na śmierć nazwiska, co mu w ogóle dość często zdarzało się z swemi gośćmi.

— A widzisz że to muzyk! — szepnęła panna Adela do swego przyjaciela.

Anatol chrząknął z podziwem.

W ogóle już sam sposób w jaki Irlandczyk zajął miejsce u fortepianu, bez przygotowania, uderzywszy tu i owdzie kilka akordów, jakby niemi chciał zbudzić instrument, sprawił na wszystkich wrażenie, że to nie zwykły dyletant, ale muzyk z ducha trąca o klawisze.

Potem począł grać wesoło, lekko, bezmyślnie, jak tego wymagała sytuacja.

Melodye dnia ulatywały jak ptaszęta pośród fragmentów walców i znanych piosenek — wszystkie te drobnostki, które Paryż gwizdże przez tydzień spłynęły w jeden koncert powiązany, świetny.

(Dokończenie nastąpi)

cytadeli koszary Saperskie, przy ulicy Pokornej, i sprzedawano przez publiczną licytację, ale na rzecz żydów.

Postąpiono więc jeszcze bardzo łagodnie.

Żydzi stracili wprawdzie, ale nie tyle, ile byli mogli stracić, gdyby im towary owe zgodnie z przywilejami królewskimi zupełnie skonfiskowano. Drugi publiczny skład z zabranych towarów żydowskich utworzono w jurydycy Stanisławowa, gdzie dziś pałac Kazimirowski (3).

Gwałtowny ten krok marszałka Lubomirskiego, był, jak zwykle u nas, środkiem chwilowym i w rezultacie bezpłodnym. Już w rok po tem żydzi otrzymali pozwolenie odbudowania zniszczonych osad, a choć to nie przyszło do skutku, to zato roić się poczęli w mieście i trudnić zwykłymi swemi szachrajstwami. Jeszcze raz zagrożony w swych najdroższych interesach magistrat wystąpił do marszałka Mniszcha z prośbą o wydalenie żydów, o zadośćuczynienie dekretem i przepisom. Jakoż prośba ta poskutkowała. Dnia 25 Maja 1784 r. ogłoszono rozporządzenie marszałkowskie rugujące żydów z miasta i jego okolic. Wówczas żydzi wystąpili z „czułą“ prośbą do króla, lecz to im nic nie pomogło. Ustąpić musieli. Było to ostatnie zwycięstwo, odniesione przez magistrat nad żydami na drodze zgodnej z prawami, przywilejami i dekretemi. — Odtąd żydzi, dostawszy się jeszcze raz do Warszawy, już z niej więcej nie wychodzili, i jeżeli czem na to bezprawne rozgoszczenie się synów Izraela w stolicy dawnej Polski odpowiadała miejscowa społeczność, to już tylko gwałtami, które, że użyjemy dzisiejszego wyrażenia, śmiało nazwać można „pogromami żydowskimi“.

W następnym rozdziale opiszemy szczegółowo to nowe stadium walki mieszczaństwa warszawskiego z obsiadującym je żydowstwem. (d. c. n.)

## Kronika literacka.

Miron. — Poezye. Warszawa, 1884.

Gdy pierwsze, drobne poezye Mirona, zaczęły się temu lat kilkanaście ukazywać w „Kuryerze Warszawskim“, czytająca publiczność przyjęła je z żywym, szczerem uznaniem. Odrazu dostrzeżono w młodym tym pisarzu talent rzeczywisty, odczuwający silnie wrażenia a nie kłamiący porywów nie doznanych.

Poetyczny nastrój ducha, umysł wrażliwy, naturalność i prostota, wreszcie szlachetne tendencje — wszystko to cechowało początkowe utwory Mirona, rokując mu nieposłednie miejsce w gronie tegoczesnej generacji naszych poetów. Niestety, nadzieje te prawie w zupełności zawiodły... — Skrzydła młodego sokoła, straciły rychło siłę lotu; a koniec poetycznej twórczości Mirona o tyle był smutnym, o ile początek był rzec można świetnym. — Okoliczności postronne zgubnie wpłynęły na rozwój ducha poety, zgasiły w nim przedwcześnie iskrę świętego ognia. Miron miał ją niewątpliwie, — był poetą... i żałować też doprawdy należy, że siła jego ducha nie odpowiedziała sile talentu. To jednak co po Mironie zostało, ochroni go zawsze od... zapomnienia.

Rzeczy drobne, krótkie, lecz tworzone z czuciem prawdziwym, czasem zaprawione ironią bolesną, są najlepszymi utworami Mirona. Na kompozycje szersze, obmyślane głębiej, z wyższym nastrojem, brakło poecie natchnienia i energii. W zebranych razem poezyach Mirona, poezyami są jedynie drobne piosenki i wierszyki. Czy to należy przypisać właściwości talentu poety, czy też osłabieniu duchowemu — nie wiemy; lecz to pewna, że natchnienie jego ma krótki oddech, męczy się łatwo; jest w niem coś suchotniczego. — W całym zbiorze ta, że się tak wyrazimy, chorowitość, przebija wyraźnie. Również widoczną jest, pomimo poczciwej zawsze myśli, i duchowa niedojrzałość poety. Oddawna zwietrzały bajronizm, znajduje jeszcze żywy oddźwięk w niektórych jego pieśniach. Skargi na los i ludzi (ze strony Mirona najmniej właściwe, bo los mu dał bardzo wiele, a ludzie otoczyli odrazu serdeczną życzliwością), kołaczą się tu i owdzie bezpotrzebnie. Oto przykład:

„I cóż winnaś poezyo, że nie dajesz chleba?  
Że gdy kogo ukochasz najczęściej ma kwiaty  
Lub złoty laur na czole, lecz na butach łąty  
I zimą bez paltota liczy gwiazdy nieba.

(3) A. Weinert. Starożytności Warszawy, V—132.

„Cóż winnaś, że każdemu prawie z twych wybranych  
W głowie wrą ciągle burze, w sercu smutki wieczne,  
Że dni ich życia rzadko bywają słoneczne,  
I tak często zdradzani są przez ukochanych.

Poezyo, kto cię kocha, wszystko ci przebaczy,  
Nigdy cię nie obwini, nigdy nie okłamie,  
Choć mu miłość dla ciebie całe życie złamie,  
Chociaż będzie marł z głodu lub konał z rozpaczey.“

Wiersz ładny, nawet bardzo ładny, pretensje jednak jakie autor ma do poezyi, są... nieuzasadnione. Dlaczegoż bowiem poezya ma koniecznie „chleb dawać“. Czyż ona jest gotówką, sklepem lub rzemiosłem? — Kto od niej tego żąda, przestaje być poetą. Poezya ma cel inny, a celem tym: wzniesienie duchów i serc w szlachetne sfery piękna i uczucia.

Odnajdujemy Mirona jako prawdziwego poetę, gdy zapomniawszy swego bajronizmu, kresli z wdziękiem i prostotą taki znowu obrazek:

„W niebieskim pokoiku na słońcu przy oknie,  
W klatce z grządką na grządkę szczygiel z piosnką skacze  
Pod cią w faszeczce z wodą święconą cierń mokień,  
I w doniczce krwawemi łzami fuksya płacze.  
I błogo w pokoiku, jak gdyby skrzydłami  
Otulił go miłośnie anioł uśmiechnięty;  
I chód tylko zegaru słycać w ciszy świętej  
Świętej, bo nie mąconej nigdy skarg kłótwami.  
Po chwili drzwi otwiera kobieta, — w około  
Spojrzawszy, na fotelu przy stoliku siada;  
I pogodą uroczą łśni jej blade czoło,  
Bo ona z tej samotnej ciszy nader rada,  
I pustemu szczygłowi półgłosem się zwierza  
Z tęsknoty, co w jej serce niby rdza się wpila,  
I nadziei, co zawsze ją biedną zwodziła.  
O! bo ona śni jeszcze! choć snom nie dowierza!  
Potem znów bierze książkę — i ręką zmarszczoną  
Wyjmuje z niej kwiat zwiędły i z łzami radości  
Całuje bo choć serce jej ufne zdradzono,  
Ona czi to wspomnienie — wiosny i miłości.  
Nagle przy drzwiach szpic czujny warknął — więc co żywo  
Stara panna, na starą pannę się zamienia,  
Bo mógłby kto wyszydzić jeszcze jej marzenia,  
I nie słusznie! gdyż ona chciała być szczęśliwą.“

Podobnych wierszy mamy wiele w zbiorze Mirona i one też są jego ozdobą. Nie możemy tego powiedzieć o *Don Juanie*, *Dziwnej Pieśni* i innych dłuższych fragmentach. Tworzone na zimno, z widocznym naśladownictwem Bajrona, a jeszcze więcej Słowackiego, pozbawione prawdziwej poetyczności, nie robią przyjemnego wrażenia.

Niektóre wreszcie wierszyki z pewną cechą realistyczną, odznaczają się niepospolitym artyzmem. Oto jeden z wierszy tego rodzaju, w którym poeta rzeczy najmniej poetyczne z prawdziwą odmalował poezyą. — Nosi on tytuł „Ballada“ (obrazek nie flamandzki).

„Noc — wiatr pędzi chmur stada,  
Jęcząc piosnki szalone,  
Z drobnym deszczem śnieg pada,  
I latarnie zamglone  
Jak pijaka zrenice  
Patrzą krwawo w ulice.

W Starem-Mieście het, w kącie.  
Tuż przy Schodkach Kamiennych.  
Z brudnym szyldem na froncie,  
Z barw jaskrawych i ciemnych  
Szynek, śmiesznie i smutno  
Jak Teniersa łśni płótno.

Niby jedza Macbetha,  
W czepku wdzianym na bakier,  
Siedzi w progu kobieta,  
I tak milczy jak kwakier,  
Choć koło niej szewczyki  
Grają z śmiechem w guziki.

W kącie w starym mundurze  
Łobuz gwizdże walczyka,  
Portretuje na murze  
Węgłem fizys rzeźnika  
Co kawałek cygara  
Próżno zatlić się stara.

Dalej baba od fary  
Pod przysięgą zeznaje,  
Że co noc jej mąż stary  
Z swej mogiły powstaje  
I powiada jak wściekle  
Jest gorąco mu w piekle.

Znów przy samym szynkwasio  
Stoją ludzie i plotą:  
Jak grosz trudny w tym czasie,  
Jak nieszczęścia ich gniotą,  
Co to będzie na świecie?  
Czy mróz w zimie, skwar w lecie?

W tem z piosenką Schumana,  
W kapeluszu na ucho  
Wchodzi postać nieznana  
I wnet robi się głucho,  
Jakby sam mistrz Twardowski  
Lub diavolo wszedł włoski.

Baba w progu ockniona  
Jednem okiem mrugnawszy  
Doń wyciąga ramiona'  
I rozpacznie krzyknawszy:  
Mój kochanku! upada  
Na próg niby trup blada.

A on pali blaszankę,  
Bierzę fajkę znów w usta  
I klnąc dawną kochankę,  
Idzie — a z nim pieśń pusta,  
Bo raz niby się śmieje  
To znów niby lży leje...

A wiatr pędzi chmur stada  
Jęcząc pieśni szalone,  
Z drobnym deszczem śnieg pada,  
I latarnie zamglone,  
Jak pijaka zrenice  
Patrzą krwawo w ulice."

Przyznać trzeba że utworów w tym rodzaju, czysto realistycznym, literatura nasza nie posiada wiele. „Ballada“ dowodzi jak talent Mirona był swojsko-oryginalnym, i jakie rzeczy mógł być stworzyć, choćby tylko w tym jednym już kierunku.

Między własnymi utworami Mirona napotykamy wiele tłumaczeń i naśladowań autorów obcych. Tłumaczenia te zręczne są bardzo i udatne; a niektóre z nich dorównują oryginałom. — I na tem więc polu Miron mógł zająć nieposłownie miejsce.

Smutno, powtarzamy, pomyśleć, że talent piękny zgasł przedwcześnie z niemalą szkodą dla literatury naszej, potrzebującej dziś więcej może niż kiedykolwiek sił młodych, dzielnych i wytrwałych...  
K. W.

## Z MULTAŃSKICH KRESÓW.

### IV

(Drobna własność ziemska.)

(Dokończenie).

Rachunek tedy oparty na rzeczywistości, wykazuje dokładnie, że każda przeciętna rodzina włościańska przy niezbyt nawet skąpych wydatkach na utrzymanie, powinna by zaoszczędzić rs. 24 k. 40 rocznie. Tymczasem większość nietylko że nie oszczędza nic — lecz przeciwnie zadłuża się, pracując przytem i zarabiając więcej nawet niż w rachunku moim przyjąłem, a wydając na *rzeczywiste* potrzeby daleko mniej.

Jaka tego przyczyna?

Cherchez le juif.

Wpółśród 200—300 chałup chłopskich siedzi cztery lub pięć pajaków brodatych, z długimi drapieżnymi szponami, którzy też „prawem dziedziczości“ drapieżność swoją doprowadzili do najwyższej chyba doskonałości. Od wieków, jak owad za żerem dla siebie — tak ciągnął semita za kolonistą na kresy. Czuł to bardzo dobrze, że czy to szlachcic kresowy — hulajdusza nieopatrzny — czy łatwo zubożony na dalekiej wyprawie kozak, czy nie przeciążony pracą, wolny i zamożny kmieć, więcej mu da zarobić niż mieszkańcy gęsto zaludnionych i zubożonych środkowych krain dawnej Rzeczypospolitej. Handlowali i handlowali nasi bracia moższowego wyznania długo na tych kresach, a jak korzystnie i buńczucznie, — pieśń o Zelmanie smutnie tego dowodzi.

Handlują — o handlują dobrze i teraz; nieco wprawdzie ciszej i grzeczniej, ale niemniej zyskownie.

Dwadzieścia cztery ruble i czterdzieści kopiejek bijącego w oczy deficytu w każdej chłopskiej chacie — toć to jasny chyba i również smutny dowód.

— A po co chłop pije? — powie niejeden „liberalny“ moralista.

Achl dobrodzieju ludzkości, zjedź na ten padół pijanego śmiechu, a patrząc, jak prawo zwyczajowe, wszczepione przez żydów, pod groźbą wykluczenia ze społeczeństwa, połączyło każdy obrządek religijny, każdą uroczystość rodzinną lub publiczną z upiciem się do zwierzęcości, jak małe dzieci już w mleku matki uczy się znosić zapach spirytusu; jak kilkumiesięczne „berbecie“ zalewane bywają par force przez matki chrzestne gorzałką, „aby dobrze rosły“; — jak młody małżonek po pijanemu przysięga przy ołtarzu; — jak pijane dzieci idą za trumną swych rodziców, — a widząc to powtarzam, możebyś nie rozumował, lecz podpartszy głowę zamysliłbyś się głęboko nad tym wpływem jaki plemię semickie wywiera na zamieszkującą z niem wspólnie ludność innoplemienną.

Złe jest, lecz jakie nań lekarstwo? Dwory mają karczmy, które w rezultacie nie dają im *nic*; dla podniesienia

trzeźwości, poniosą z ochotą tę bląhą ofiarę i wyrzekną się tego *problematicznego* dochodu i zamkną karczmy; ale czy to pomoże? Pozostanie karczma gromadzka, i pozostanie we wsi żyd wypędzony z dworskiej karczmy, który najmie sobie mieszkanie u chłopa i w dodatku będzie ludzi na niekorzyść dworu buntował.

A więc jakież jest wyjście z tego zakłętą koła? Po długim mnie wyjście jest i chociaż nie dość rychłe — lecz pewne. Mam na myśli wpływ duchowieństwa. Niech co chcą mówią „liberalni“ adherenci semityzmu i jego pięknych właściwości, stanowisko kapłana jest tak doniosłem, że jeżeli można wierzyć w uduchowanie, w uszlachetnienie tej potężnej siły która ludem zwie się, to wierzyć także trzeba iż stanie się to przedewszystkiem przy pomocy i wpływie duchowieństwa. Przykłady tego już i teraz widzimy. Widzimy już i tutaj całe parafie (Tynna (1), Gródek, Smotrycz, i t. d.) gdzie ludność ogólnie wyrzekła się wódki; — a przykładów takich bogdajby było jak najwięcej!

Obok kapłanów — i właściciele więksi o ile znajdują się na swoich stanowiskach, mogą zrobić niemało. Namowa, perswazyja, przedstawianie żywych przykładów trzeźwości prowadzącej do dobrobytu, oto środki przy pomocy których oddziaływać można i oddziaływać trzeba — w imię tego co się zowie poczuciem obywatelskiem.

Niemniej ze strony właścicieli ziemskich okolicy tutejszej jest konieczną, jest bardzo pożądaną jedna drobna reforma w stosunkach robotniczych, a mianowicie skasowanie rozdawania wódki przy robotach w polu. — Czyż nie lepiej byłoby o parę kopiejek podnieść płacę dzienną niż dawać wódkę i podniecać nałóg, lub torować mu drogę?

Z kolei rzeczy wypadałoby mi wspomnieć coś jeszcze o oświacie ludowej. Co do tego jednakże zamiast obszerniejszych wywodów, mogą jedynie przytoczyć kilka cyfr ze statystyki urzędowej gubernii tutejszej. A więc:

W roku 1872 było szkół 1346; — w roku 1881 było ich 797 czyli o 549 mniej.

W roku 1872 liczba uczęszczających do szkół tych — uczniów wynosiła 31,549 a w r. 1881 — 23,335 czyli o 8,205 mniej.

Ubytek jak widzimy znaczny; o przyczynach jednakże tego faktu pomówię może innym razem.

Tymczasem przychodzi mi na myśl mimowoli pytanie, jaka może być przyszłość stanu włościańskiego w prowincji tutejszej? — Otóż mimo wszystkich przywiedzionych wyżej warunków i okoliczności, przyszłość ta uważnemu spostrzegaczowi nie przedstawia się wcale w barwach pośpnych. — Bądź co bądź, lud ten rozwija się powoli na drodze samowiedzy i porasta w dobrobyt. Kto wie nawet czy w tem powolnem, lecz mimo to stałem dążeniu do zwiększania swej własności gruntowej, oprzeć się zdoła większa część fortunek szlacheckich o mniejszych rozmiarach, czy ich z czasem, przy nieopatrzności zwłaszcza właścicieli, nie pochłonie dzisiejsza własność drobna. Przykłady rozparcelowania w ostatnich czasach kilku większych majątków wskazują dość jasno tę... perspektywę nad którą komentarzy robić jak na teraz nie mam zamiaru. Wskazuję samą jedynie rzeczywistość — sam fakt tylko.

Zaznaczyć też muszę i fakt inny jeszcze, że jak to od wieków praktykuje się tutaj, wielu ludzi pochodzących ze stanu włościańskiego, zostając najczęściej w służbie lekkomyślnych i nie rachujących się „panów“, — że wielu mówię z tych ludzi, w krótkim stosunkowo czasie dorabia się dość znacznych fortun, bez względu nawet na to, że stanowiska ich bywają najczęściej podrzędne i lichy płatne. Szczęśliwcy ci jednakże zrywają co rychlej wszelkie węzły łączące ich ze sferą z której wyszli i wchodzą zwykle w najniższe kręgi *pseudo-intelligencji*. Wchodzą, — kto wie czy nie po to nawet aby w drugim lub trzecim pokoleniu wypłynąć na wierzch społeczeństwa... lecz w postaci... szumowin. Daj Boże! aby było inaczej.  
Abgar-Soltan.

(1) Z żalem wielkim przyjęliśmy tutaj wszyscy wiadomość o przeniesieniu ks. kanonika Lisieckiego proboszcza z Tynny do Kulezyc (w gubernii wołyńskiej). Ksiądz Lisiecki z górą ćwierć wieku był prawdziwym stróżem i opiekunem naszego kresowego cudownego obrazu Bogarodzicy w Tynnie, a energiczną działalność swoją w ostatnich kilku latach skierował głównie w celu wytepienia pijaństwa i świetnie mu się to udało.

## NA POSTERUNKU.

„Młodości, ty nad poziomy! — Niepodobni do siebie. — Konkurs na dzieło o fizycznym i moralnym wychowaniu młodzieży. — Dlaczego cicho o nim? — List hr. Skarbka i hr. Ronikiera. — Moja skromna uwaga. — Biedni ci swoi! Wsparcie powodzian i błogosławione dnie miasteczkowych „obywateli“. — Zapomogi w naturze. — Niebawmy bój w obozie postępowym. — Elegancka rozmowa pozytywnych reformatorów. — Kto uwierzył w ich wielkość? — Niezły znak.

„Młodości, ty nad poziomy!“ powtarzam zawsze, ilekroć widzę młodzież spieszącą w progi szkolne, — powtarzam i... urywam najczęściej, bo ta młodzież dziwnie jakoś niepodobna do siebie — niepodobna do tej, do której wołał poeta: „nad poziomy ulatuj... a okiem słońca ludzkości całe ogromy przenikaj z końca do końca“. Wbrew życzeniu wszystkich moich „serdecznych“, nie jestem jeszcze... starym; gotów jestem odczuć bicie serc młodych, a przecież go nie odczuwam, nie słyszę. Niby-to młode a nie młode, niby-to pełne pragnień, nadziei i złotych snów przyszłości, a przecież wygląda tak, jakby się chyliło do grobu. Zda mi się, że zamiast tej młodości mającej wzbijać się nad poziomy, widzę starość, w której piersiach wszystek zapal już wygasł — i chciałbym wtedy pytać wszystkich: co to jest? — co się stało z tą młodzieżą naszą?

Kto wie czy nie te same myśli, nie te same pytania zadrgały w sercach rodziny nieszczęśliwego samobójcy w kościele Ś-to Krzyżkim, — skoro mogąc to uczynić prawnie, nietylko nie unieważniła jego zapisu na premium za napisanie najlepszego dzieła o fizycznym i moralnym wychowaniu młodzieży, lecz przeciwnie, wyznaczoną przez niego nagrodę konkursową podwoiła, przeznaczając na ten sam cel 3,000 rubli.

Fakt ten podały w kilku wierszach gazety i zresztą — nic — cichuteńko... jakby to było coś o czem pisać nie warto. A jednak inaczej bywa gdy idzie o konkurs teatralny... Gdy ktoś wyznaczy jakies 200 lub 300 rubli na napisanie komedyjki, pisma nietylko trąbią sławę ofiarodawcy na wsze strony świata, nietylko podnoszą jego czyn do wysokości zasług mających zbawić społeczeństwo, ale i o konkursie samym, o jego doniosłości, etc., sążniste artykuły wypełniają szpalty wszystkich dzienników.

Lecz nie przesadzajmy faktów. Skoro jest wyznaczony konkurs toć i warunki jego ogłoszone być muszą. Czekajmy więc, a może wtedy szanowna prasa nasza zrozumie całą wagę owego dzieła, mającego wskazać jak prowadzić tę naszą młodzież by ją ustrzedz, uchronić nietylko od uposledzeń fizycznych, nietylko od zabójczych... nałogów, ale i od tego prądu materyalistycznej zgnilizny, jaki powiał nad społeczeństwem, grożąc mu straszniejszą od wszelkiej innej — bo... moralną ruiną. O konkursie na dzieło takie warto doprawdy pisać choćby odrobinę więcej niż się pisze o zaangażowaniu p. Zimajer na niemiecką scenę, o wyścigach jeźdźców na welocypedach, lub wreszcie o przedstawieniach „pikantnych“ farsz francuzkich. Dzieło takie jest potrzebne tak bardzo, jak potrzebną każdemu społeczeństwu młodzież zdrowa — moralnie i fizycznie silna.

Życzę więc z serca powodzenia jednemu z najważniejszych konkursów jakie kiedykolwiek u nas istniały, a tymczasem spieszę z wyrażeniem uznania hr. Ronikierowi i hr. Skarbkowi, nietylko za ich „list“ ile za dowód ich odwagi... cywilnej. Mieć ciągle do czynienia z owemi „dziećmi jednej ziemi“ a mimo to wyprzeć ich się publicznie... ho! ho! to nie każdy potrafi. Więc też składając broń przed taką rycerskością, nie mogę przecież nie zrobić skromnej mojej uwagi nad jednym ze zdań jakie w „liście“ spotkałem: „Nie będziemy dowodzić że przedsiębiorstwo handlowe nie jest instytucją filantropijną ani patriotyczną, że wolno mu jest posługiwać się zdolnościami i pracą ludzi każdego wyznania. (no i narodowości... zapewne), byleby tylko ludzie ci uczciwie i zdolnie mu służyli.“ Jest to więc taki pewnik, że szanowni autorowie listu nie chcą nawet zatrzymywać się nad nim; tymczasem mnieby się inaczej zdawało. Przedsiębiorstwo handlowe czy przemysłowe nie może być „instytucją filantropijną“, lecz na gruncie obywatelskim powinny stać zawsze, i pytać przedewszystkiem czy *swoi*, czy najbliżsi, rodzeni, mają już tak wiele pracy i chleba iż go można obcym rozdawać? Każdy przedsiębiorca-polak powinien, mówię, o to pytać, jeżeli naturalnie wierzy że i wśród *swoich* także znajdują się jeszcze tacy co mu potrafią „zdolnie i uczciwie

służyć“. Nie wiem czy autorowie listu mają tę wiarę czy nie mają jej wcale, ale wiem zato, że według tego pewnika jaki ogłosili w swym liście, byłoby poprostu nonsensem mieć na przykład pretensję do synów Germanii o to że zakładając u nas przedsiębiorstwa, wszystkie lepiej płatne miejsca rozdają swoim tylko... landsmanom. Byłoby powtarzaniem nonsensem żądać tego od przemysłowców dalekich nam krwią i duchem choć u nas spanoszonych, czego uznać nie chcą ci nawet, co jak mówią sami, gotowi są „każdej chwili dowieść, iż swoje społeczeństwo ojczyste i jego ideały tradycyjne — kochają“.

Och! ci swoi — ci swoi — jak oni są kochani!

Kocha ich widocznie i niejaki pan Słupski, który chce się także poświęcić i obdarzyć naród wydawnictwem pozszywanem z zapoznanych, „odrzuconych“ talentów. Ow pan S. nie wspomina wprawdzie czy to nowe „Na pomoc“ ma pospieszyć na pomoc powodzianom czy na pomoc... wydawcy, ale znam i takich dla których nawet klęska powodzi stała się już źródłem mniej lub więcej obfitego połowu i... złotego szwindlu. Tak, — mamy i takich dobroczyńców. Gdy z jednej strony ogół polski spieszy z wdowim swym groszem by nim wesprzeć rozbitych, zdruzgotanych klęską współpraci — z drugiej ogół także ale ogół kruków — czyha by nawet ten grosz wdowi, zsypany dla nędzarzy, przenieść do swych wiecznie nienasyconych, wiecznie chciwych... kieszeni.

Donoszą nam właśnie z okolic nawiedzonych wylewem, iż dawno już tamtejsi „obywatele“ trudniący się interesem... wódczanym i różnemi innymi interesami równie czystej natury, nie mieli dni tak jasnych i... błogosławionych jak były dnie rozdawania wsparć i zapomóg okolicznym chłopkom. — Ile tam z tych wsparć zamiast uratować biedaków utonęło w szynkach i kantorach bankierskich miasteczkowych opiekunów ludu, trudno zapewne byłoby policzyć; lecz nie trudno chyba jest pojąć, jak bardzo w obec tej tak czulej, troskliwej i nie wypuszczającej nigdy polskiego chłopca z swoich objęć opieki, byłoby pożądanem rozdawanie wsparć *w naturze* — w inwentarzu lub zbożu. — Chciałbym aby ten głos mój tak cichy i spokojny że nawet „Izraelita“ zgorzycić się nim ani nazwać „antisemickim alarmem“ nie jest w stanie, — doszedł do komitetów rozdających te wsparcia, i chciałbym aby ten grosz przynajmniej — ten chleb od ust odjęty — nie poszedł na wzbogacenie tych, co najradośniej śmieją się wtedy właśnie, gdy innym klęski i niedole ogólne cisną do oczu najobfitsze łzy.

Lecz... co to jest — co słyszę? — w obozie pozytywnym jakiś dziwny, niebawmy bój zawrzał. Niedowierzam, przyglądam się i naprawdę widzę że mistrze od „rozbijania murów przesądu i zgniłej tradycyi“ znudzeni widocznie tem, iż mury te pod ich taranami nie pękły jeszcze i nie rozsypały się w gruzy, poczynają rozbijać swoje własne, i jak sami twierdzą „najtęższe“, „najmądrzejsze“ głowy.

Posłuchajmy jednak tej liberalno-pozytywnej tyralierki a raczej tej eleganckiej, prawdziwie salonowej rozmowy, jaką prowadzą: p. *Maryan Bohusz* współpracownik pozytywnego „Wędrowca“, i świeżuteński jeszcze współpracownik pozytywnego „Prawdy“ z panem... *Posłem Prawdy*.

*P. Posel Prawdy*: Zachowawcy to spekulanci prowadzący „podwójną buchalteryę“ swych przekonań, — postępowcy to prawdziwi szermierze niezależni, to bogowie idei...

*P. Maryan Bohusz*: Nie mamy wytrwale walczących stronnictw, niezależnych szermierzy, ale posiadamy zato zachowawcze lub *postępowe przedsiębiorstwa*, współzawodniczące giełdy i wymysławające sobie przekupki.

*P. Posel Prawdy* do p. Bohusza: Milcz ty „zółty dziobku“, ty „wydzielino pory cholerycznej“ (dosłowne) i nie pluj w własne gniazdo.

*P. Bohusz* do p. *Posła Prawdy*: Nie rzucaj się, nie wymysławaj ty namiętne „przekupko z za Żelaznej Bramy“ (także dosłowne) lecz dowiedz że tak nie jest — i że nie mam racyi.

Tak reformatorzy „strupieszalego społeczeństwa“ walczą nawet z sobą samymi. — Kto wątpi niech się...dotknie „Prawdy“ (Nr. 34) i „Wędrowca“ (Nr. 35), a uwierzy w ich wielkość, w którą przecież i... liberalny świat... kantorzystów uwierzył już oddawna. Dla mnie tymczasem to pierwsze starcie wzajemne pozytywno-bezwyznaniowych dziryktów nie jest wcale złym znakiem — więc je chętnie zaznam.

*Kamienny.*



## Z CAŁEGO SWIATA.

Niemiecki „Słowik“ i „Mewa“ na wybrzeżach afrykańskich. — Góry Kameruńskie posiadłością niemiecką. — Dokładność niemiecka. — Co zawinił Rogoziński. — *Pour le roi de Prusse* w Afryce i w Opawie. — Centraliści i odwiedziny czechów w Krakowie. — Dwaj wielcy ludzie i jedna szansonistka czyli zgoda à la française. — Marnosć rzeczy ludzkich i odrobina pociechy wobec tego.

Mój Boże! czy też przeszło kiedy przez głowę pocziwemu naszemu Rogozińskiemu, kiedy się w imię polskiej nauki na zbadanie wnętrza zachodniego wybrzeża afrykańskiego wybierał, że wśród gór Kameruńskich, których okolice są przedmiotem jego pełnych trudu i poświęcenia poszukiwań, spotka się z niemieckim „Słowikiem“; — i to nie z tym pospolitym, ordynaryjnym słowikiem, co to na lada gałęzi, w lada noc majową trele wywodzi, ale ze „Słowikiem“ generalnym, który na „Mewie“ jeździ, i ziemie afrykańskie na imię rządu niemieckiego zabiera... Tak, moi państwo kochani, tak to śpiewać umieją te niemieckie słowiki... Ale przepraszam — państwo może nie wiecie, że konsul generalny niemiecki Dr. Nachtigall, zatknął sztandar niemiecki pod górami Kameruńskimi; że *Nachtigall* po niemiecku znaczy: „Słowik“, i że ten Słowik ma sobie oddany statek parowy „Mewa“, żeby przedź mógł szerzyć i gruntować panowanie niemieckie na afrykańskim lądzie. — Prasa niemiecka, która lubi być dokładną, dała już mapy terytorium Kameruńskiego... bardzo niedokładne. Autorowie ich nie słyszeli widać nic o Rogozińskim i o ważnych, dokonanych przez niego zdobyciach geograficznych. To rzecz bardzo naturalna, i dobrze mu tak: czemu nie urodził się kulturregerem?... Byłby miał do tego czasu i sławę, i pieniądze, i wszystkie rzeczy które jego są. A tak, na cóż się przydały nadludzkie jego trudy i poświęcenia, na co przydała się śmierć jednego z najdzielniejszych jego towarzyszy?... Im zdało się, że pracują dla dobra ludzkości, dla chluby imienia polskiego, — a tymczasem, pożał się Boże, pokazało się że pracowali... *pour le roi de Prusse!*...

Tak to bywa, moi państwo: jednemu szydła golą a drugiemu i brzytwy nie chcą.

Co prawda, to przyznać należy, że gdzie chodzi o energię w działaniu, kanclerzowi niemieckiemu nikt nie sprostą. Anglicy mieli okrutny apetyt na te same ziemie, które zajęli dla Niemiec Dr. Nachtigall-Słowik; mieli apetyt tem większy, że nimi chcieli opasać i odgrodzić od morza świeżo przez Niemców nabytą osadę Angra Pequena zwaną. Ale Anglicy widać nie otrząsnęli się jeszcze z niektórych przesądów zacofanej cywilizacji i nie stanęli na wysokości dzisiejszego kontynentalnego postępu; — wystawcie sobie państwo, że przed zabranie owych ziem, zaczęli się układać z dotychczasowymi ich posiadaczami i myśleli o jakiejś dla nich indemnizacji. Skorzystał naturalnie z tego niedołęztwa książę kanclerz, kazał zabrać ziemie bez żadnych koro-wodów, i basta!

To rozumiem! — Kto wie czy taki sam los nie spotka Opawy, na Szlązku austriackim, gdzie niedawno temu zebrani na wiec nauczyciele niemcy, tak głośno demonstrowali na rzecz księcia Bismarka i *pour le roi de Prusse!*

I zdarzenie to, i przysłowie, wcale dowcipnie wyzyskał jeden z mówców podczas pobytu czechów w Krakowie, lubo zjazd ten odznaczał się nietyle dowcipem, ile serdecznością. A! już-to tyle serc na dłoni co podczas tych czeskich odwiedzin, dawno świat, zaprawdę, nie widział. I temu to poważnemu swemu charakterowi zawdzięcza fakt ten, iż poczęty bez żadnej dalszej myśli, bez żadnego szerszego planu, sam z siebie wyrósł na coś poważnego, na coś, przed czem każdy uczciwy człowiek czapkę zdjąć musi. — Była to w każdym razie uroczystość czysto familijna, wiec rodzinny, na który tylko nieprzyjaciół Słowiańszczyzny krzywem patrzeć może okiem. Tak też spoglądali nań panowie centraliści, niemcy austriacy, którzy poczęli już upatrywać w tem zamach stanu i na gwałt bić w swoje dzwony gazeciarskie. Na szczęście urodziny cesarza Franciszka-Józefa, które przypadły na trzeci dzień zjazdu, nadeszły w sam raz, aby rzeczy w prawdziwym postawić świetle. Serdeczna, pełna zapału czesko-polska demonstracja na cześć cesarza i rodziny Habsburgów, w rażącym świetle stawiając antipatryotyczną, pruską demonstrację centralistów w Opawie, zamknęła im usta tak, że zamilkli jak trusie. A cesi i polacy naśmiali się z nich grubo, uściskali się, ucałowali nawzajem, nagadali sobie rzeczy serdecznych, i rozumnych, i pouczających, i skrzepieni na sercu i duszy, rozjechali się do domów, każdy do swojej pracy, z miłą nadzieją, że mu w niej dużą

moralną pomoc przyniesie szczere braterskie: „Na zdar!“ i „Szczęść Boże!“.

Niema to jak jedność i zgoda — byle na uczciwej podstawie wzajemnego poszanowania i życzliwości oparta. Nie zdaje się w wysokim stopniu posiadać tych warunków zgoda, jaka nastąpiła w tych czasach między dwoma dość głośnego imienia francuzami, którzy dotąd niecierpieli się serdecznie, dokuczali sobie wzajemnie, pojedynkowali się z sobą kilkakrotnie, jednym słowem żyli jak ogień z wodą, lub jak pies z kotem. Jeden z nich zwie się Hr. Rochefort, znany redaktor niegdys „Latarni“ a dziś dziennika „Intransigeant“; — drugi Andrieux, dawny prefekt policyjny, a dziś członek izby barwy mocno radykalnej. — Otóż ci panowie znaleźli się pewnego pięknego dnia obok siebie przy stole biesiadnym, rozdzieleni jedną tylko przegrodą, na szczęście niezbyt wątlą, gdyż w postaci należycie grubej już dzisiaj niestety, sławnej szansonistki Teresy, przyjaciółki *intime* obudwóch. Naturalnie że rozmowa nie szła, gdyż dwaj antagoniści o mało nie warczeli na siebie; to nie podobalo się pani Teresie, która nudzić się nie lubi, nie robiąc więc sobie z nimi wielkiej ceremonii, po chwili zawołała: „Cóż u diabła! Dlatego że wy się boczycie na siebie, to ja mam spać przy stole, co?... Tak być nie może! Podać sobie zaraz ręce! Dać sobie buzi! No, raz, dwa, trzy!...“

Zanim „trzy...“ wymówiła, już dwaj francuzi leżeli we wzajemnych objęciach i całowali się aż mlaskało.

Ta zgoda francuzka, na rozkaz... szansonistki, bardzo smutno wygląda. — Daje ona bardzo brzydkie wyobrażenie o stałości przekonani w sferach polityczno społecznych, do których ci dwaj panowie należą. Ciekawa rzecz, coby oni też powiedzieli, gdyby im pani Teresa kazała była przysiąc na wierność hrabiemu Paryża albo księciu Napoleonowi?... Jeżeli takich tylko synów, czy ojców, ma Republika francuzka, to zaprawdę na bardzo glinianych stoi nogach!

— Nic dziwnego! — bo i cóż stałego, co trwałego na świecie? Wszystko przemija jak sen marny... A! mój panie, już też takie komunały to sobie wypraszamy! — Dobrze, proszę państwa, ale cóż ja mam robić, kiedy ja właśnie chciałem powiedzieć, że wszystko przemija jak sen marny... Za pozwoleniem, proszę mi nie przerywać, niech się wygadam... Oto Liszt oslepl, Makart zwaryował, Thausing, sławny estetyk niemiecki utonął w Łabie, Tyrsz także estetyk czeski utopił się w rzece Acha, Celiński, polak, notaryusz w Algierze, ożenił się po raz dziewiąty... Aha! cóż państwo na to? — Czy nie miałem słusności narzekając na marnosć rzeczy ludzkich?... No, żeby kto z państwa nie popadł w czarną melancholię, powiem w końcu na pociechę, że oprócz ostatniego punktu, który jest pewnikiem matematycznym, wszystkie prawie inne nieszczęścia zostały zakwestyonowane. Jeżeli się okażą fałszem, nie zaniedbam donieść państwu o tem w przyszłej kronice, z której naśmiejemy się tak, jakeśmy się przy tej napłakali... Autor spuszcza skromnie oczy na widok wrażenia sprawionego jego arcydziełem, i podpisuje się

E. Jerzyna.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

### KRAJOWA.

**Z Towarzystwa Kred. Ziems.** Dyrekcyja Główna Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, na ogólnem zebraniu członków swoich, postanowiła: 1) wstrzymać wydawanie władzom skarbowym żądanych o dobrach stowarzyszonych wiadomości; 2) upoważnić, w zastępstwie radców dyrekcyj szczegółowych, delegatów taksowych do sprawdzania i szacowania klęsk powodzi w dobrach, żądających z tego tytułu ulgi w spłacie rat, wreszcie 3) uchylić wniosek przyznania urzędnikom Towarzystwa zasiłku czy gratyfikacji.

**Szkoły.** — Według informacji dzienników rosyjskich, na 1,200 kandydatów do wyższych zakładów technicznych okazało się w roku bieżącym tylko 550 wakansów.

Według wydanego świeżo rozporządzenia Komitetu naukowego ministerjum oświaty, w celu nieobciążania uczniów częstą zmianą podręczników, mają być stosowane i przestrzegane następujące prawidła: 1) Żaden podręcznik nie może być zastąpiony przez nowy przed upływem dwóch lat. 2) Wykład kursu każdego przedmiotu, lub oddzielnej całkowitej części takowego (np. arytmetyki, algebry, geometrii i trygonometrii, historii starożytnej, średniowiecznej, nowożytnej, ojczyznej i t. d.), powinien być zakończonym według tego samego podręcznika, według którego był roz-

poczętym. Wyjątek dozwala się tylko w wyższych klasach, przy powtarzaniu kursu. 3) Nauczyciel, chcący zmienić podręcznik, powinien wejść do rady pedagogicznej z oświadczeniem na piśmie, dokładnie wyluszczać przyczyny zmiany. — Rezolucye o zmianie podręczników powinny zapadać koniecznie przed rozpoczęciem wakacyj letnich.

**Warszawska Spółka Mleczarska.** — Pod taką firmą ma powstać w Warszawie spółka, której zadaniem będzie zakładanie racjonalnie urządzonej mleczarni, dla wytwarzania wyrobów nabiałowych wszelkiego rodzaju, a zarazem kształcenia fachowych producentów.

**Przemysł.** — Podobno w okolicach kolei terespońskiej ma powstać wielka fabryka wyrobów płóciennych, urządzona na wzór fabryki żyrdowskiej. Spółka ma być złożoną z kapitalistów tutejszych i... zagranicznych. Zarówno powodzenie jak i zbyt wysokie ceny wyrobów fabryki żyrdowskiej, zachęcają oddawna już do urzeczywistnienia podobnego projektu.

**Z prasy.** Z dniem 1 Października wychodzić zacznie nanowo w Warszawie „Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza”. — Z powodu prospektu jaki mamy przed sobą powiemy wkrótce słów kilka; tymczasem pożytecznemu wydawnictwu ślemy szczere: szczęście Boże!

„Kronika Rodzinna” podaje nader sympatyczny opis przybycia *Ignacego Domejki* w swoje strony rodzinne. Była to dla mieszkańców tamtejszych chwila prawdziwie rozrzewniająca i pełna serdecznego wylania.

**Ze sztuki.** Andriolli dał nam szkic, przedstawiający epizod z ostatniej powodzi, a mianowicie kolebkę z dzieckiem, unoszoną przez fale Wisły. Szkic ten znakomity artysta złożył w księgarni Gebethnera i Wolffa, przeznaczając kwotę otrzymaną ze sprzedaży na rzecz powodzian.

**Chwalebna uchwała.** Gromada w gminie Baranów Ostrołęcki, z inicjatywy wójta i sołtysa, powzięła uchwałę, iż nikomu niewolno jest chodzić do karczmy w dnie niedzielne i świąteczne. Przekraczający zakaz karani będą grzywną w ilości 1 rubla na rzecz kościoła. Bogdajbyśmy uchwały takie co tydzień notowali!

**Z Opatowa** piszą do nas: „Przed kilkoma tygodniami w odległej od miasteczka naszego o parę wiorst wsi Karwowie zdarzył się wypadek godzien... zaznaczenia. Jednemu z włościan wsi wspomnianej Wojciechowi B., padła krowa na czarną krostę. Policja i wójt gminy zawiadomieni o tem przez sołtysa zjechali na miejsce i polecieli zaraz, w swej obecności, padłą krowę całkowicie zakopać. Jakoż stało się to w dniu 6 Lipca przed południem; ale tegoż samego dnia w godzinach między 9 — 11-stą wieczorem starozakonnymi rzeźniczy z Opatowa, Majer C. i Lejbuś W., przybyli do wsi oświadczać Wojciechowi B., że zakopaną krowę chcą nabyć za 3 ruble. Chłopek nie dał się zbyt długo namawiać i zaprosiwszy swego szwagra dobyli wspólnie ową krowkę a obdarłszy ją ze skóry sprzedali dwom wspomnianym rzeźnikom za ofiarowaną przez nich cenę. Rzeźnicy podzieliwszy się mięsem rozprzedali je w jatkach — skórę zaś nabyła jedna z mieszkanek Opatowa pani M. i suszyła ją przez trzy dni z rędu na otwartem powietrzu...!

W trzy dni po tej operacji handlowej właściciel krowy, ów Wojciech B., dostał czarnej krosty i w szpitalu tutejszym w strasznych cierpieniach życie zakończył; żonę zaś jego, która pomagała mężowi przy wydobywaniu i oprawianiu padłej krowy, tylko szybka pomoc lekarska uratowała od niechybnej śmierci, a takiejże pomocy zawdzięcza życie i szwagier zmarłego. Nie potrzebuję dodawać jaki, iście paniczny strach ogarnął wszystkich mieszkańców którzy w jatkach owych rzeźników... pomysłów kupowali mięso; przez miesiąc cały trwał straszliwy niepokój — a najmniejsza krostka na ciele robiła wrażenie śmiertelnej krosty... czarnej.

Dziś, gdy już strach przeminał, oczekujemy wszyscy z ciekawością jakiej karze ulegną niesumienni rzeźnicy. Przy pierwiastkowym śledztwie tłumaczyli się oni, iż jakkolwiek kupili *istotnie* padłą krowę, to jednakże uznawszy mięso z niej za nieprzydatne do sprzedaży wyrzucili je; — chociaż znowu w miejscu przez nich wskazanem nawet śladu mięsa nie znaleziono. Dotąd rzeźnicy ci są wolni i po dawnemu handlują w swoich jatkach; — co zaś będzie dalej, czy sprawa wejdzie na drogę karną i czy rzeźnicy za tego rodzaju nadużycie będą odpowiedzialni — tego powtarzam oczekujemy tu wszyscy z zaciekawieniem. M.

## ZAGRANICZNA.

**Cholera.** Z Włoch dochodzą wiadomości o wzmagającej się epidemii cholerycznej. Do Spezzi przybył minister Brin, który się zajmował zarządzeniem środków ochronnych. Odosobnienie Spezzi poczytywane jest za niemożliwe. — Uciekło z tamtąd, według najnowszych doniesień, około 7,000 osób. W prowincyi Bergamo, nie liczącej więcej nad trzysta gmin, zmarło na 90 przeszło wypadków, około 50 osób. Cholera wzmaga się także na Korsyce, nie tylko na wybrzeżach, ale i wewnątrz wyspy.

**W Krakowie** przy miejskiem muzeum przemysłowem otwartą została „szkoła artystycznego przemysłu”. Program nauki obejmuje następujące przedmioty: Geometrię połączoną z rysunkiem linearnym; geometrię wykreślną, naukę o cieniach i perspektywie, połączone z odpowiednim rysunkiem; rysunek ornamentów i naukę form ornamentalnych; naukę form i stylów z odpowiednim rysunkiem; rysunek figur, zwierząt, roślin i draperyj. Modelowanie. Nadzór zwierzchniczy nad tą szkołą powierzony został opiece wielce zasłużonego dyrektora Muzeum techniczno-przemysłowego d-ra Adryana Baranowskiego.

**Za morzem.** — Z „New-York Herald” dowiadujemy się, iż z przywrotnego zapisu powstać ma ochronka i szkoła polska w Albany. Kierowniczkami będą siostry miłosierdzia.

**Ś. p. Konstancy Hoszowski**, b. senator Rzeczypospolitej Krakowskiej i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności, badacz historyczny, zmarł dnia 24-go z. m. w Krakowie.

## SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

5 Września 1884 r.

Jak zwykle tak i dziś rozpoczynamy ten przegląd różnych gałęzi handlu od najważniejszej dla naszego kraju — a mianowicie od handlu zbożem.

Obfitość zboża w Ameryce tak z nowych zbiorów jak i z zapasów zeszłorocznych, zwiększenie się zbiorów a raczej ułatwienie dowozu z Indyj — a w końcu liczne i wielkie zapasy mąki dla której zbyt jest trudny, sprawiają, że dążność ogólna w handlu zbożowym na wszystkich rynkach jest niskowa. Kraje produkujące mając większe zbiory niż zwykle, natarczywiej zaofiarowują, podczas kiedy z drugiej strony zwykli nabywcy również posiadając więcej zboża niż w latach ostatnich kupują mniej, a mając duży wybór tylko przy ustępstwach nabywają.

Rynki amerykańskie w tem położeniu rzeczy obniżają ceny, wywóz zwiększa się dość nieznacznie, w każdym jednak razie na potrzeby Europy zbyt, rynki angielskie, francuzkie i całej zachodniej i środkowej Europy również ulegają obniżce cen przy ruchu słabym i niewielkich obrotach.

W Gdańsku ceny również — szczególnie pszenicy — coraz są słabsze a w Berlinie tylko handel na dostawę późniejszą ożywił się nieco w dniach ostatnich, wywołując pewną w cenach drobną wyżkę, która jednak nie wpłynęła na ceny towaru gotowego.

Ostatnie notowania Gdańskie są: 7.14 za korzec pszenicy wyborowej, 5.35 za korzec najlepszego żyta. — Ceny na dostawę późniejszą trochę niższe.

Na nasz rynek dostawy bardzo obfite, szczególnie w poniedziałki, w które ilości na sprzedaż wystawionej pszenicy i żyta dochodzą do 1,500 korecy.

I tutaj wrażenie obniżki cen zagranicą nie przechodzi bez wpływu, tembardziej że młynarze kupują mało, tylko na konsumpcję danej chwili, a głównymi kupcami są prowincjonalni nabywcy gdyż i na wywóz niewiele kupować można z powodu iż ceny są stosunkowo za wysokie. — Pszenicy mniej jeszcze kupowano, żyta zaś trochę więcej, tembardziej że w tygodniu minionym nabywano dosyć na potrzeby wiejskie. Dlatego też ceny żyta mniejszej uległy obniżce niż ceny pszenicy.

Płacono na placu Witkowskiego za pszenicę: korzec od 6 rs. za smolną, gorszą, aż do 6.90 za wyborową; żyto 4.50 do 5.10. — Niewielkie ilości jęczmienia po 4 do 4.25, owsa 2.85 do 2.90 sprzedawano.

Na stacyi Praga drogi terespońskiej płacono za pszenicę 90—115, żyto 70—85, jęczmień 75—88, owies 75—90 kop. za pud.

Siana i słomy tylko we Wtorki i Piątki nieco więcej dowożą. Ceny niezmienniane 40—50 za pud siana, 20—25 za pud słomy.

Na rynku cukrowym panuje mocne usposobienie. Po podwyższeniu cen w Warszawie o 30 kop. nastąpiła podwyżka Koeniga w Petersburgu o 20 kop. na pudzie. Zapasy coraz bardziej się wyczerpują i zapotrzebowanie wzrasta. — To też i ceny idą w górę bezustannie i za rafinadę za którą w końcu tygodnia zeszłego 4.15 do 4.20 płacono, już obecnie płacić trzeba 4.25 do 4.30. Mączka która również w końcu tygodnia zeszłego około 3.65 się trzymała płacono już jest obecnie 3.82½, do 3.85 za kamień 24 funtowy. W ogóle ruch większy i sytuacja o wiele lepsza niż przed paru tygodniami. Wiadomości o urodzajach buraków nie są zbyt korzystne, susza bowiem prawie wszędzie panująca na ich rozwój niezbyt przyjaźnie wyłynała.

Handel wełną bez zmiany. Zapasy na prowincyi dosyć znaczne — nie pozwalają na podwyżkę cen i wzmocnienie usposobienia.

Skóry na początku targu słabo były kupowane, co ich cenę cokolwiek obniżyło lecz ku końcowi — w drugim dniu targowym usposobienie wzmocniło się i ceny wróciły do tegoż samego poziomu.

Skórki cielęce 20—21.50 za pud prowincjonalnych. Dowóz mały.

Olej, nafta bez zmiany.

Okowita słabo się trzyma. Ceny w hurtowej sprzedaży 2.62 do 2.65, w detalicznej 2.66 do 2.69 za garniec.

Targi żywnościowe również nie przedstawiają wielkich zmian. Zaznaczyć tylko należy że po pierwszej gorączce w sprzedaży bardzo obfitej wieprzów na wywóz zagranicę, wieprzowina wróciła do cen zwykłych. Mięso, chleb, nabiał, drób, pozostają bez zmiany, ogrodowizny i jarzyny tanie. Owoców brak i dlatego też coraz są droższe.

Ceny mąki podawać będziemy stale poczynając od przyszłego numeru.

### Odpowiedzi Redakcyi.

*P. L. R. Głubicz, z Woł.* Za pamięć i artykuł dziękujemy uprzejmie; ale w tej chwili mamy trzy inne korespondencye z tych samych stron i traktujące tenże sam przedmiot.

*Korespondentowi z Mławy.* Głos izraelity z roku 1830 otrzymaliśmy i wkrótce może damy mu miejsce.

*P. Swobodnemu z Radomia.* List pomieścimy lecz prosiłbyśmy w każdym razie o właściwy podpis dla naszej jedynie wiadomości.

*P. E. Wołowicz.* — Zużytkujemy; tymczasem prosimy uprzejmie o cierpliwość.

*P. Lud. Pr. Fürstenhoff.* Dziękuję za pamięć. N-ra wysłaliśmy zaraz. Do Krakowa nie.

*Żemajtowski.* Dziękuję, — będzie może... w przyszłym numerze.

*P. L. Kr. z War.* Nie jest to żadne „osobiste zbliżenie“ ale trzymamy się ściśle zasady bezstronności, która powinna być hasłem i dewizą każdego uczciwego organu. — Wszystko nam jedno czy oni „podnieśliby jakiś projekt“ z *Roli* czy nie; do nas z prostego obowiązku należy podnosić wszystko co dotyczy dobra publicznego.

### OFIARY.

Na dotkniętych klęską powodzi:

Złożyli w dalszym ciągu:

Beżmiennie rs. 1.

Z Bractwańskiego zebrane przez p. J. Durzyckiego na powodźnian-  
ścian: X. rs. 1 k. 30. — S. Papezenko rs. 1. — Rabinowicz rs. 1. — Rozenberg k. 25. — Wasilewski k. 10. — A. Camoin k. 50. — Żurbicki k. 50. — Litwak k. 10. — Mostowy k. 35. — Kryżanowski k. 10. — Monachow k. 25. — Bojko k. 10. — Sytnik k. 10. — Meteliński k. 10. — Chmielewski k. 15. — Usow k. 30. — Zaleski k. 10. — Szeremeta k. 10. — Prochniewski k. 10. — J. Camoin k. 20. — Od 7 rzemieślników k. 38. — B. Białecki rs. 1. — Razem rs. 8 kop. 8.

Razem z wykazanemi poprzednio, wpłynęło dotąd na ręce nasze rs. 314 kop. 20.

Gdyby ktoś z polaków-chrześcian prowadzących handel drzewny lub mających zamiar prowadzić go z Królewem życzył sobie kupić drzewo na sztuki lub las na włoki w najrozmaitszej ilości (na pieniądze do 10 tys. r.) na dogodnych warunkach co do ceny i wypłaty, raczy się zgłosić po adres do Redakcyi „Roli“.

2—2

Wszelkie  
Przybory do Podróży  
Konnej jazdy i Polowania.  
Kufry, WALIZY i TORBY  
własnego wyrobu.  
PŁASZCZE GUMOWE  
ANGIELSKIE. 12-3  
Kurtki, Płaszczki i Spodnie  
SKÓRZANE.  
poleca po cenach przystępnych  
T. L. Breymeyer  
W a r s z a w a,  
Królewska N. I.  
róg Krak. Przedm.

## Skład Wyrobów ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie

ulica Tłomackie Nr. 507/1

poleca

13—5

Wybór Mebli i różnych Posadzek.

## TANIO DUŻY WYBÓR DYWANÓW

perskich, Kaukaskich, Bucharskich, Uralskich, Angielskich i innych — od s. 1 k. 50 do 400 za sztukę, największych. **KOLDER** różnych, Serwet, Der, Chodników, od 18 kop — Przedmiotów Orientalnych i t. p.  
Magazyn Giełżyńskiego w podwórzu — Marszałkowska N. 65. 52—56

## Przewodnik Firm Handlowych i Przemysłowych.

### ANTYKWARYATY.

Gabinet księgarsko-antykarski, Cezarego Wilanowskiego, Bracka Nr. 7.

### FABRYKI BILARDÓW.

Trotschel F. Czerniakowska N. 68, wprost Górnej — w domu własnym.

### FABRYKI POWOZÓW.

Stopczyk Jan. Fabryka powozów, Elektoralna Nr. 7c (794)

### FABRYKI SZUWAKSU I ATRAMENTU.

Gliński S. Szuwaks glicerynowy i atrament. Nowy Świat, 67.

### FABRYKI KAPELUSZY.

M. Polender. Fabryka Kapeluszy. Długa Nr. 17.

### KAPELUSZE i CZAPKI.

Tuczyn Antoni. Magazyn kapeluszy i czapek. Podwał, 14.

### MAGAZYNY STROJÓW.

„Daleszyńskie“. Pracownia strojów damskich, Marszałkowska Nr. 57.

### MAGAZYNY MEBLI.

Dzięgielewski Józef. Magazyn mebli i tapicerski Ś-to-Krzyzka Nr. 8.

Otwinowski T. Zakłady stolarskie, tapicerskie i dekoracyjne. Nowy-Świat Nr. 38.

### MASZYNY POMOCNICZE (dla fabryk i rzemiosł).

Gerlach et Comp. Srebrna N. 8.

### OBICIA PAPIEROWE.

Czarnecki J. i Syn. Obicia papierowe, ceraty, rolety, gzemisy do firanek. Nowy Świat, 76.

### OZDOBY KOŚCIELNE.

Robert Giese i S-ka. Fabryka luster i ram oraz robót kościelnych i salonowych. Nowy-Świat 28.

Szonert Karol. Fabryka ołtarzy i innych ozdób kościelnych, Chtodna Nr. 14.

### SZEWCY.

Zbrożek Józef (syn). Magazyn obuwia damskiego i dziecięcego. Przejazd Nr. 2.

### WYROBY METALOWE.

Bitschan Paweł. Fabr. wyr. brązowych, aparatów kościelnych, napisów metalowych, herbów i liter. Długa, 47.

Puchalski J. Fabryka slusarsko-mechaniczna. — Tłomackie Nr. 6. — Długa Nr. 51.

### WYROBY ZŁOTE I SREBRNE.

Jakimowicz J. Fabryka wyrobów złotych i srebrnych, — wyroby gotowe. Senatorska 22.

Mankielewicz M., Wyroby złote, srebrne i brylantowe. Gmach Teatralny pod filarami.

### ZEGARMISTRZE.

Pracownie. — Marszałkowska Nr. 20. — Nowy-Świat Nr. 38.

## Fabryka Wyrobów Metalowych i Odlewów

### T. GWIZDZIŃSKIEGO i Comp.

przy rogu ulic Nowego Świata i Książęcej Nr. 2.

Poleca swoje wyroby a mianowicie: Krany rozmaitej konstrukcyi, od 1/4 do 4 cali, Wentyle od 1/2 do 3 cali, Krany wodowskazowe do szkieł od 3/8 do 1 cala, Oliwiarki dubeltowe do cylindrów parowych, Oliwiarki do korbosztang, Świstawki parowe, Pływaki od 1/2 do 1 1/2 cala, Wyloty do polewania ulic, ogrodów i pożarne, od 3/4 do 2 cali, Łączniki do węzów parcianych, gumowych i skóranych od 3/8 do 3 cali i t. p.

Powyzsze przedmioty znajdujają się zawsze na składzie w wielkiej ilości, tak, że na każde żądanie fabryka zadosyć uczynić może. Odlewy uskuteczniają się tak z własnych jak i nadsyłanych modeli, z rotgussu, mosiądzu, białego metalu: cynku, cyny i ołowiu. — Cenniki i rysunki na żądanie fabryka wysyła bezpłatnie.

P. P. Handlującym odstepuje się stosowny procent.

## Dentysta A. Głogowski

b. asystent dra Kobylińskiego, ulica Marszałkowska nr. 40 róg Zgoda, wejście od ulicy Zgoda. — Przyjmuje od 10-ej zrana do 6-ej po południu.

Zawiadamiam WW. Panów Myśliwych że moją pracownię **PUSZKARSKĄ** przenieśliem na ulicę **Długą Nr. 30** do hotelu **Drezdeńskiego** i polecam się nadal łaskawym względem WW, Panów, ręcząc za sumienną i akurataną robotę.

Ceny możliwie przystępne.

6—3

S. Zielński.

## ZAKŁAD GAZOWY W WARSZAWIE

ulica Ludna Nr. 4, sprzedaje

### KOKS,

najczystszy i jeden z najkorzystniejszych materiałów opałowych do ogrzewania pieców i kuchni, do użytku kuźni, odlewni i wszelkiego rodzaju warsztatów i fabryk, do opalania lokomobil i kotłów i t. d. Cena kop. 60 za korzec.

### Smołę gazową,

po ugotowaniu najpraktyczniejszą do malowania dachów krytych tekturą asfaltową lub gontami, parkanów, mostów i w ogóle drewnianych budowli. — Cena rs. 1.30 kop. za 100 funtów.

1—1

## H. Cegielski, Trylski i S-ka

Warszawa,

Miodowa Nr. 2,

Polecają:

Tryeury oryginalne Meyera z Kalk z wentylatorami i sitami na zmianę do czyszczenia zboża z kąkol, grochu, wyczki etc., oraz specjalne Sortowniki do zboża.

Młocarnie sztyftowe przewożne Clayтона i Schutt-leworth z Wiednia, wydające ziarno czyste.

Młocarnie sztyftowe ręczne i maneżowe z przetrząsaczami do słomy i sitami.

Siewniki rzędowe i Pługi Samochody Rudolfa Sack z Plagwitz.

Siewniki rzutowe oryginalne H. F. Eckerta z Berlina.

Brony sprężynowe amerykańskie do przykrywania posiewów i uprawy roli, których użyteczność ogólnie uznaną została.

Kultywatorki amerykańskie po 20 rs.

Oraz wszelkie maszyny i narzędzia rolnicze wypróbowanej dobroci.

Cenniki i katalogi illustrowane przesyłamy na żądanie franco.

6—4

## DOM BANKIERSKI Radziszewski i S-ka

w Warszawie,

Krakowskie-Przedmieście, Hotel Europejski.

Nr Telefonu 394.

Operacje Kantoru Bankierskiego:

- 1) Kupno i sprzedaż papierów publicznych.
- 2) Wymiana walut, banknotów i monet zagranicznych.
- 3) Zamówienia na wszystkie giełdy Krajowe i Zagraniczne.
- 4) Dawanie zaliczeń na papiery publiczne brane w komis do sprzedaży.
- 5) Sprzedaż papierów publicznych z wypłatą na raty.
- 6) Assekurowanie pożyczek premiovych I i II Emisji.
- 7) Przyjmowanie udziału w interesach handlowych i przemysłowych.
- 8) Wyszukiwanie kapitałów dla większych przedsiębiorstw Krajowych.

Oraz różne operacje wchodzące w zakres banku, handlu, przemysłu i tranzakcyi hipotecznych.

6—3

## Ogród owocowo-warzywny.

kilko-morgowy, z obszerną szparagarnią i z zapasem nawozu do uprawy jesiennej, w kolonii Helenówek pod Pruszkowem, jest do wydzierżawienia na lat kilka fachowo uzdolnionemu ogrodnikowi. Kaucya wymagalna, — albo może być oddany w zarząd ogrodnikowi, na umówiony procent od czystego dochodu. Bliższą informację udzieli właściciel domu, Elektoralna Nr. 35.

3—1

## Instytut D-ra Kadlera

przyjmuje chorych syfiliistycznych i skórnych, tak przychodnich jak i na stałe pomieszczenie, od 10 do 12 i od 4—5. Krakowskie Przedmieście 38.

## H. Cegielski, Trylski i S-ka

Warszawa,

Miodowa Nr. 2,

Wylączni Reprezentanci Fabryki

H. Cegielskiego w Poznaniu,

nagrodzonej wielkim medalem złotym na Wystawie zeszłorocznej w Kijowie,

polecają wyroby z teje:

Młocarnie maneżowe trybowe i pasowe, powszechnie uznane za najtrwalsze i najlepsze.

Wialnie maneżowe, oraz ręczne Bostońskie i Backera.

Pługi wrzesińskie, Cichowskiego, trzy i czteroskibowe do przykrywania posiewu, darcia koniczynisk i odłogów.

Kultywatory, Spulchniacze, Pługi przegonowe, Drapacze, Walce pierścieniowe.

Siewniki Eckerta, Drewitza, Robillanda.

Sieczkarnie ręczne maneżowe.

Siekacze, Drapacze, Gniotowniki i Śrótowniki.

Sikawki pożarne systemu Noëla,

oraz wszelkie maszyny Cegielskiego, cieszące się ogólnem uznaniem nabywców. Części zapasowe zawsze są na składzie. — Cenniki i katalogi wysyłamy na żądanie.

6—4

Treść numeru. Od redakcyi. — W sprawie rzemiosł. — Wydawnictwa ludowe. — Żydzi w Warszawie, przez Walerego Przyborowskiego (d. c.). — Kronika literacka. — Z multańskich kresów (dok.). — Na posterunku feljeton Kamiennego. — Z całego świata, przez E. Jerzynę. — Kronika bieżąca krajowa i zagran. — Sprawozd. handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia. — W odcinku: Sjesta — nowella.

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 23 Августа 1884 г. [Drukiem „WIEKU“ Nowy-Swiat Nr. 59.]